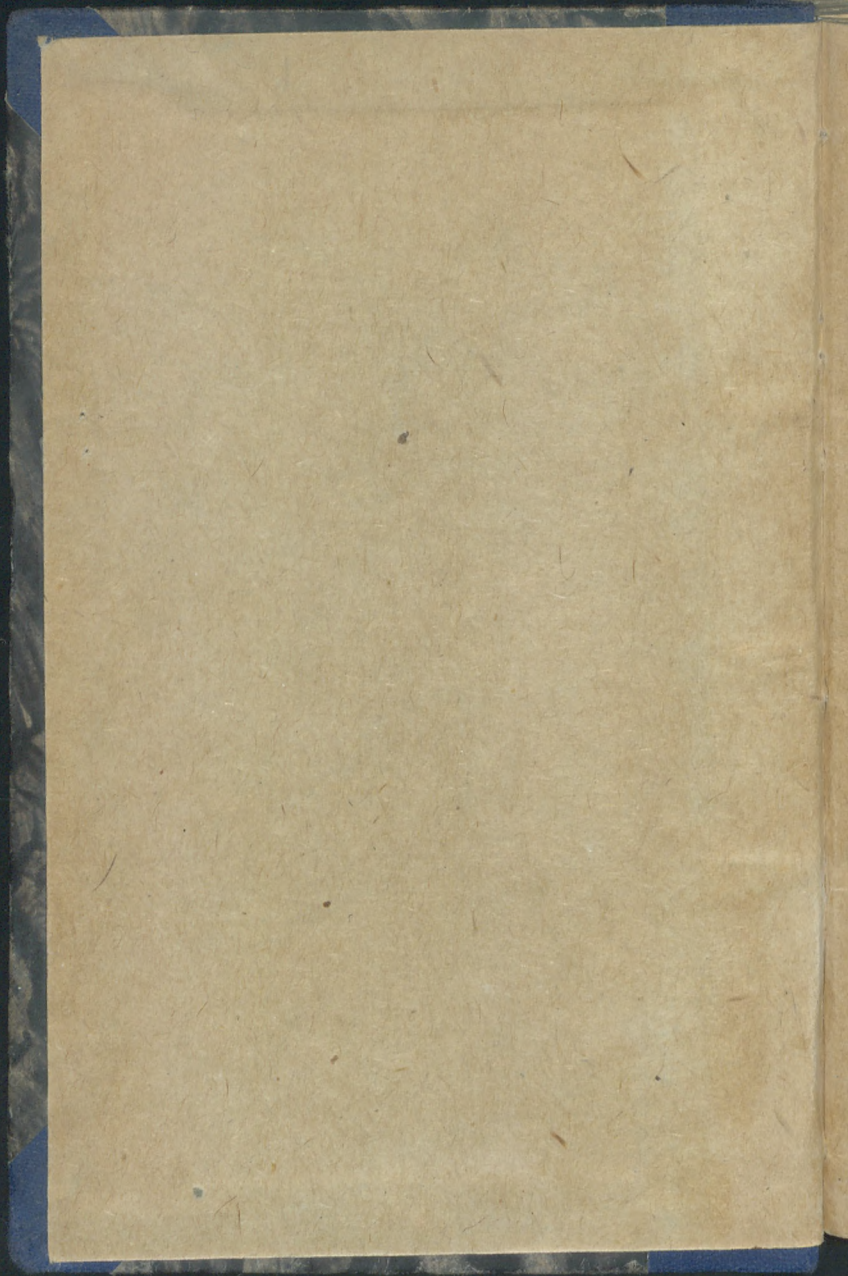
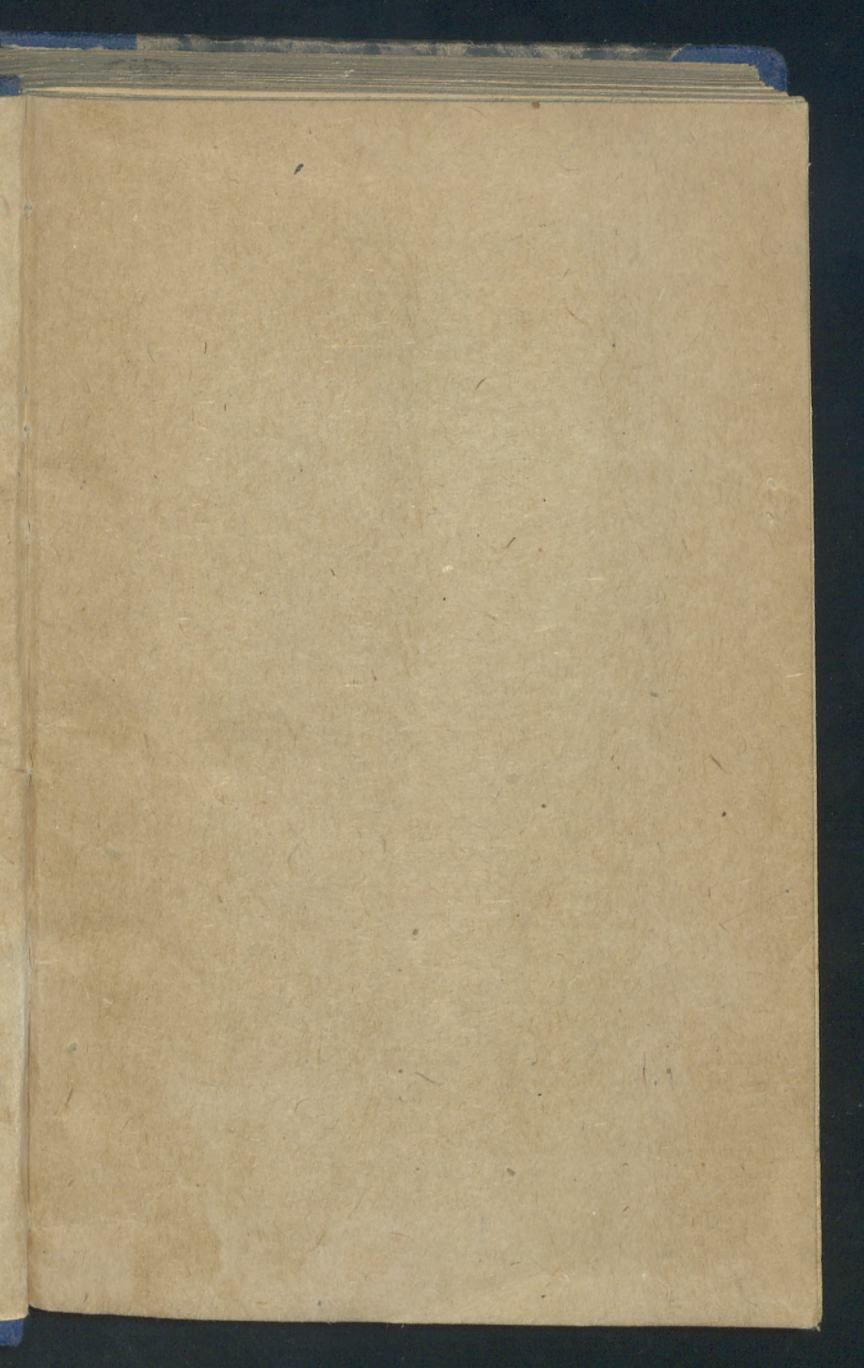
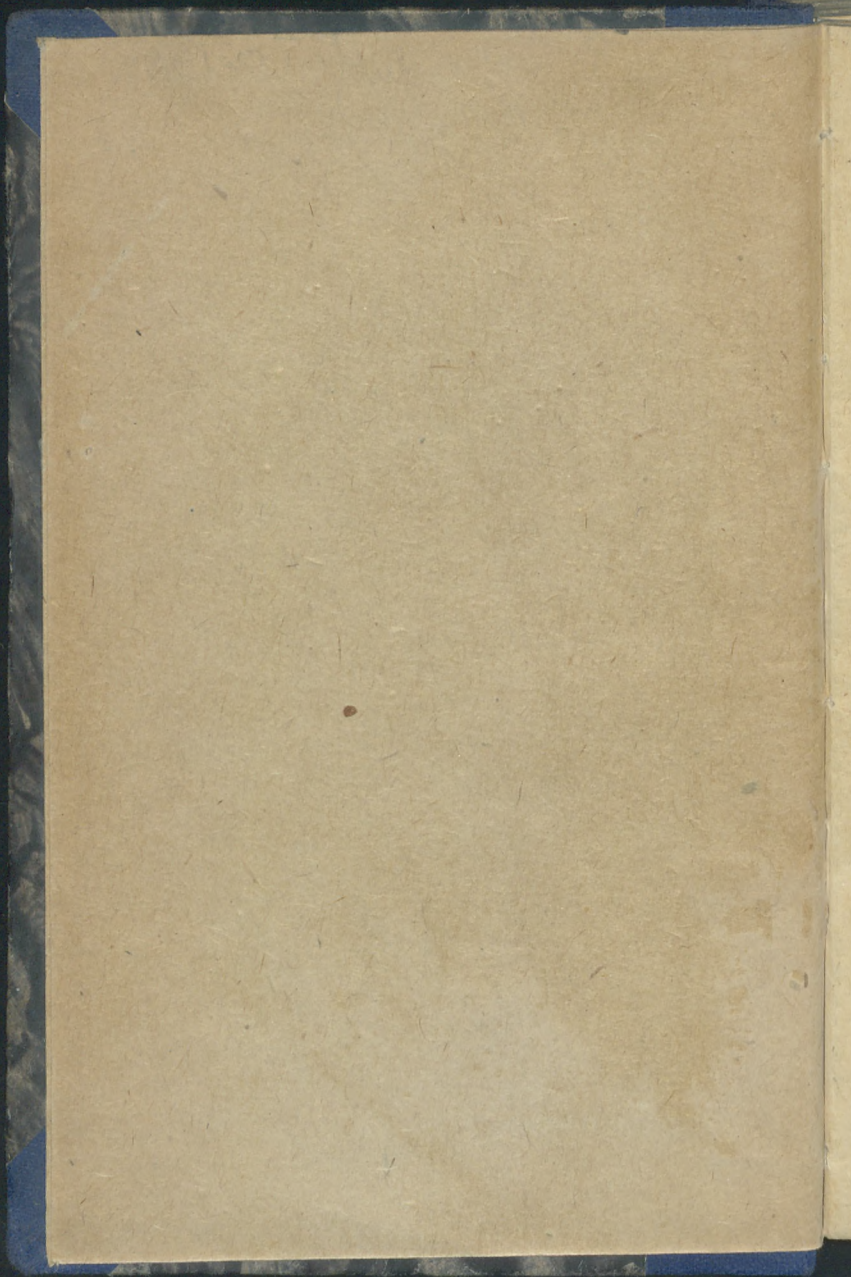


000,020





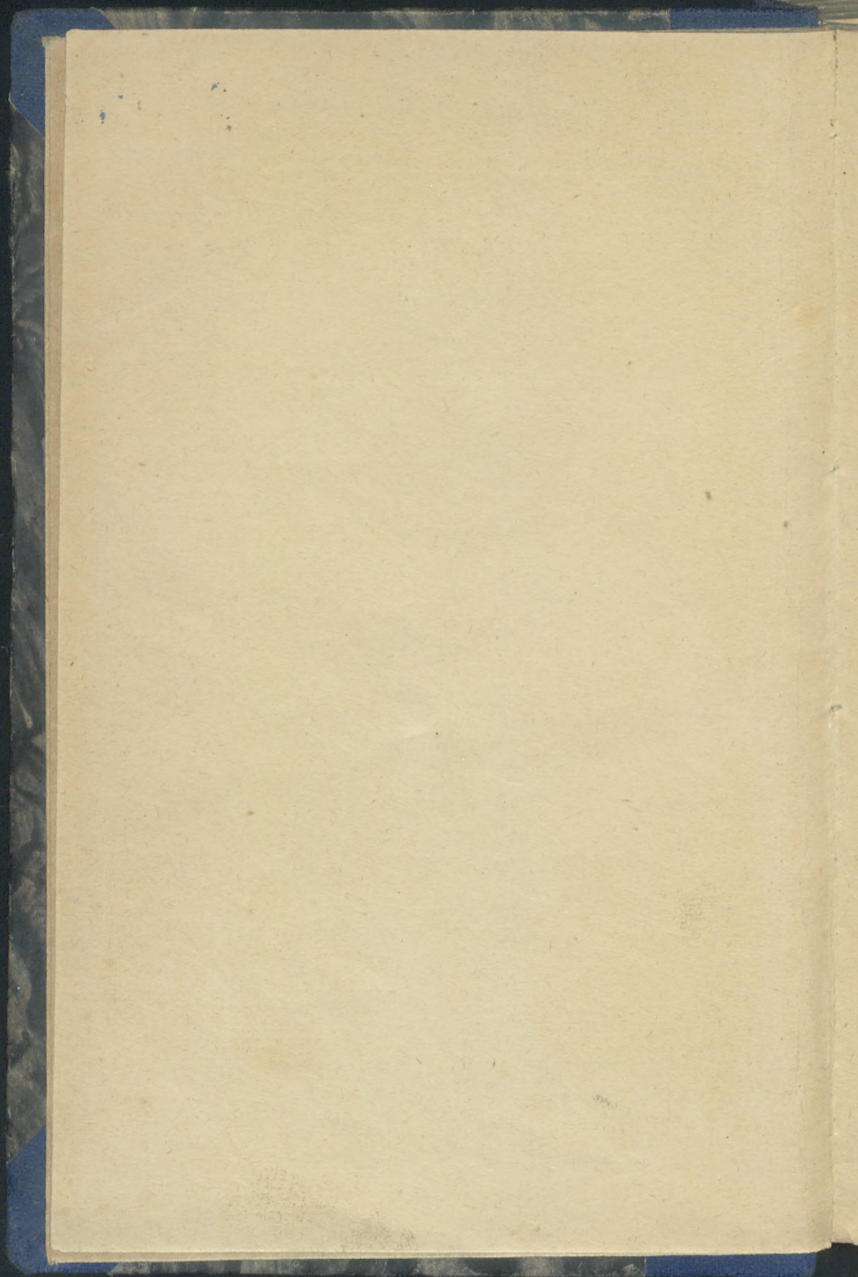


dupl: 541.035.

ALEKSANDER BŁAŻEJOWSKI



WALIZKA P. Z.



l. p. 143

ALEKSANDER BŁAŻEJOWSKI

WALIZKA P. Z.

POWIEŚĆ

WYDANIE TRZECIE

Hierp. 591

POZNAŃ

---

WYDAWNICTWO POLSKIE

< R. WEGNER >

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

—  
DRUKARNIA CONCORDIA, POZNAŃ

—  
PRINTED IN POLAND



I.603.023

1950 D 433 / 61



## I.

### Dzielnica JEMNICZE ZNIKNIĘCIE.

Dzielnica milionerów, Grunewald pod Berlinem, zdawała się być o tej późnej porze wymarłą. Gęsty deszcz bił w kałuże uliczne i w liście drzew parkowych, wydając monotonny, usypiający szum. Ciszę tę mącił od czasu do czasu ostry wiatr, który dął w korony drzew, odślaniał na chwilę śliskie, opuchłe od wilgoci konary, porywał kilka pożółkłych liści i rzucał je na oślizgły asfalt ulicy, a potem milkł zniechęcony.

Nagle w ciszę tej jesiennej nocy wkradł się głuchy trzask motoru. Początkowo daleki i przytłumiony, stawał się potem coraz wyraźniejszy, aż wreszcie dwa długie języki reflektorów samochodowych przebiły moką mgłę, zaczęły lizać dachy pałacyków, szczyty drzew, aż padły na błyszczącą od wilgoci jezdnię.

Od strony Berlina jechał pełnym gazem olbrzymi „Mercedes.“ Koło willi Hardena automobil zwolnił pęd, ostrożnie skręcił w boczną ulicę i zatrzymał się pod bramą barokowego pałacyka.

— Psia pogoda, panie baronie... — żalil się zofer, pomagając wygramolić się z pod amerykańskiej budy jakimś otyłemu mężczyźnie.

Zamiast odpowiedzi przybyły warknął coś pod nosem, potem wolno, ostrożnie, aby nie poślizgnąć się na stopniu, zeszedł na chodnik i nacisnął niecierpliwie metalowy guzik dzwonka.

Za chwilę z okien pałacyka padł ostry snop światła na ulicę i oświetlił twarz czekającego. Pokłady tłuszczu układały się na jego szerokiej, rozlanej twarzy w kilka fal podbródka. Mały, krótki nos i niezwykle silnie rozwinięta dolna szczeka upodabniały tę twarz do pyska rasowego buldoga. W małych świdrujących oczkach grały ognie zniecierpliwienia.

Wreszcie drzwi pałacyka uchyliły się. W progu stanął służący.

— Przemoknąć można do skóry, zanim któryś z was zdecyduje się otworzyć... — zauważył przybyły ochryplym głosem.

Służący cofnął się służbiście. Geheimrat baron Teitelberg, potentat giełdy berlińskiej i właściciel kilku największych fabryk chemicznych w Nadrenji, wtoczył wreszcie swoją beczkowatą postać do jasno oświetlonego hallu. Służący ściągnął obmokły raglan ze swego chlebowawcy.

— Pani baronowa w domu? — spytał Teitelberg, otrząsając się z zimna i wilgoci.

— Pani baronowa i panna Erika w operze, wyjechały limuzyną o siódmej, — relacjonował krótko i służbiście wygolony lokaj.

— Dobrze. Sekretarz Hauner jest?

— Prawdopodobnie wyszedł, bo w jego gabinecie ciemno...

— Zawsze się spieszy, — zgryźliwie mruknął Teitelberg. — Czy był kto u mnie?

— Nikt, panie baronie.

Geheimrat Teitelberg wolnym krokiem przeszedł hall i wstąpił na szeroką klatkę schodową, oświetloną dwoma kandelabrami elektrycznymi. Wspinanie się po schodach musiało stanowić większą trudność od interwencji giełdowych, bo baron Teitelberg jedną ręką kurczowo przytrzymywał się poręczy, a drugą opierał na grubej lasce trzcinowej, opuchłe nogi z trudem unosiły się na stopniach. Co chwila odpoczywał, a rozszerzone astmą płuca, wciągały ze świstem powietrze. Lokaj stąpał cicho za swoim panem, gotów każdej chwili do pomocy w tej niezwykle trudnej sytuacji.

Ale baron Teitelberg doszedł o własnych siłach na podest pierwszego piętra, tylko twarz jego przybrała granatową barwę, a usta otwarły się szeroko i łapczywie chwyciły powietrze.

W korytarzu zasłanym puszystym dywanem, lokaj pospiesznie wyminął swego pana, szybko sięgnął do kieszeni po klucz, otworzył

drzwi gabinetu. Za chwilę strumień jasnego światła wypełnił zaciszny wytwornie urządzony gabinet.

Baron Teitelberg wszedł do pokoju i uczuł miłe ciepło w kościach. Na szerokiej obrzęklej twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia, oczy z lubością ślizgały się po wygodnych fotelach obitych popielatym safjanem.

— Ciepło tu, Johann? — spytał służącego, odzyskując dobry humor.

— Ciepło, panie baronie, — potwierdził krótko lokaj.

— No, dobrze. Teraz przynieś mi gorącej herbaty. Szofer może wjechać do garażu, ale niech będzie w pogotowiu, bo jeszcze raz wyjedzie do miasta „Mercedesem.“ „Lancji“ brać nie wolno, zapowiedz to wyraźnie.

Służący zmierzał ku drzwiom, by spełnić polecenie, gdy nagle baron Teitelberg chwycił go gwałtownie za rękę. Oczy barona utkwiły z przerażeniem w koralowej zasłonie dzielącej dwa pokoje.

— Johann, tu ktoś był! — wykrztusił nerwowo.

— Ależ, panie baronie, mam klucz od gabinetu i bezwarunkowo nikogo nie wpuszczałem. Chyba sekretarz pan Hauner...

— Mówiłeś, że wyszedł...

— Tak, przed godziną zauważyłem, że w jego gabinecie ciemno.

— Więc dlaczego ta zasłona się chwieje? — spytał Teitelberg z coraz bardziej rosnącym niepokojem.

— Może przeciąg..

Długie nitki zasłony, na których kunsztownie nanizane były różnobarwne koraliki, wprawione były rzeczywiście w ruch wahadłowy i uderzały miarowo o siebie, jakby ktoś przed chwilą potrącił je, uciekając pospiesznie z gabinetu.

— Przeciąg? — dziwił się Teitelberg.

— Nic innego, panie baronie... Przestrzegam pańskiego rozkazu. Klucz od gabinetu mam zawsze przy sobie. Zna mnie pan baron... Rodzonego brata nie wpuściłbym do pokoju wbrew pańskiemu życzeniu...

Teitelberg spojrział badawczo w oczy służącego. Biła z nich prawdomówność i ślepe posłuszeństwo. Spojrzął znów na zasłonę. Ruch wahadłowy nitek był ledwie widoczny.

Mimo to Geheimrat Teitelberg nie uspokoił się zaraz. Dziwnie elastycznym jak na swoją tuszę krokiem, podszedł do okna i skontrolował zasuwy. Tkwiły mocno w parapecie okna. Przeszedł szybko do przyległego pokoju, przekreślił taster, przeszukał przy pomocy służącego każdy kąt. Nie zobaczył nic podejrzanego.

— Panie baronie, — uspakajał Johann, — przecież z tego drugiego pokoju niema wyjścia.

więc jakim cudem mógł ktoś uciec stąd, skoro zasuwę okien są w porządku... Zbyt gwałtownie pchnąłem drzwi do gabinetu i prąd powietrza poruszył zasłonę.

Argumentacja służącego była tak jasna, że Teitelberg w duchu sam wyśmiewał się ze swego strachu. Zgasił światło w pokoju, który wydawał mu się przed chwilą podejrzany, i wrócił zupełnie już uspokojony do swego gabinetu.

— No, dobrze Johann. Teraz idź i załatw, co ci kazałem.

Johann wysunął się siche z gabinetu.

Geheimrat Teitelberg przeszedł miarowym krokiem gabinet. Zbliżył się wreszcie do biurka. I tu znów uderzył go jakiś mały nieład. Papiery nie były ułożone z taką systematycznością, z jaką zwykł był sam je układać. Przycisk z olbrzymim lwem weneckim był niedbale rzucony na stos ceduł giełdowych.

— Niewątpliwie Hauner tu gospodaruje. Muszę go tego raz na zawsze oduczyć, — mruknął sam do siebie, — ale moje nerwy są również nie w porządku... Zbyt wiele pracuję. Z tą zasłoną to było nawet śmieszne...

Służący wszedł do pokoju i postawił na biurku szklanke gorącej herbaty. Teitelberg czekał niecierpliwie, a odgłos kroków służącego ucichł w kurytarzu, potem nerwowo zbliżył

się do biurka, chwycił słuchawkę telefoniczną i zażądał numer 87-296. Połączenie otrzymał natychmiast.

— Czy pan Kanner w domu? — spytał z jakimś niepokojem w głosie. — To doskonale... Poszłę w tej chwili auto po pana... Za pół godziny musi pan być u mnie na Grunewaldzie... Sprawa niezwykle ważna...

Odłożył słuchawkę i odetchnął głęboko. Następnie szybko połączył się z garażem samochodowym i kazał szoferowi jechać na Sandbergertor Nr. 106.

Telefon jakby wyczerpał siły Geheimrata. Teitelberg przymknął oczy i wsłuchiwał się w monotony plusk deszczu w rynnach. Zmęczone powieki przysłoniły małe, niespokojne oczy. Po szerokiej twarzy przebiegały nerwowe drgawki. Zdawało się, że Teitelberg drzemie.

Upłynęła może godzina, gdy pod willą rozległ się warkot motoru. Po chwili ostry głos dzwonka w bramie wytrącił Teitelberga ze snu, czy z zamyślenia. Otworzył oczy, poprawił się w fotelu i niecierpliwie zaczął nadśluchować. Po kilku sekundach usłyszał stłumione kroki w korytarzu, a potem dyskretne pukanie do drzwi.

— Wejść! — rzucił krótko Teitelberg.

Do gabinetu wsunął się człowiek w pomiętym, staromodnym żakiecie. Wystające kości

policzkowe łagodziła czarna splątana broda, odstająca koło uszu jak szcześć. Skośne, błyszczące oczy przebiegły niespokojnie po pokoju, zanim uczynił krok naprzód.

— A, Kanner... — bąknął Teitelberg i wyciągnął zimno rękę na powitanie.

Gość podbiegł szybko i uścisnął z przesadną uniżonością tłustą dłoń Geheimrata.

— Musiałem pana ściągnąć z pościeli, ale sprawa niezwykle ważna. Zresztą co pan ma innego do roboty?... — mówił z lekceważeniem Teitelberg.

Kanner zwiesił lekko głowę na znak, że nie oponuje.

Teitelberg przerwał na chwilę i patrzył obojętnie w kąt pokoju, jakby namyślał się nad tem, od czego zacząć rozmowę, wreszcie zaczął wolno i dobitnie.

— Jutro o godzinie 8-mej rano wyjedzie pan do Warszawy...

— Jutro, panie baronie...

— Wyjedzie pan do Warszawy, — z naciskiem powtórzył Teitelberg i grube wargi rozchylił w lekkim uśmiechu. — Ani o pół godziny nie może pan opóźnić wyjazdu. Pojutrze może być granica polska zamknięta... Dziś z Kurfürstendamm otrzymałem stanowcze informacje. W konflikcie obecnym między Polską a Litwą, unja sowjecka prawdopodobnie



jutro opowie się po stronie Kowna... Pan rozumie chyba co to znaczy... Republika niemiecka nie wyjdzie, oczywiście, poza ramy neutralności... Niestety początkowo musimy być tylko „Lieferantami“ dla potrzeb armji polskiej. Narazie i to dobre...

— Pan baron spodziewał się zawsze...

— Ah, spodziewałem się, — machnął Geheimrat pogardliwie ręką. — A czy sądzi pan, że dostawami nie można wygrać wojny? Środki chemiczne i apteczne z moich fabryk mogą być skuteczniejsze od granatów rosyjskiego muzyka. Pan wątpi?...

— Wierzę, — przytaknął skwapliwie Kanner.

Teitelberg milczał chwilę. Olbrzymia dolna szczęka wysunęła się naprzód, układając twarz w groźny grymas. W oczach tkwiły iskry nienawiści. Ocknął się jednak natychmiast, bo szczęka powróciła na dawne miejsce, i spokojnie już mówił dalej:

— Zapóźnie na dyskusje polityczne. Otóż jutro pojedzie pan do Warszawy i doręczy pan firmie „Wrończyk i Laube,“ którzy są dostawcami lekarstw dla armji polskiej, walizkę którą pan zaraz otrzyma. Niech się pan uspokoi. Jest to mała walizka, nawet trochę podniszczona, z literami „P. Z.“ W niej będzie tylko garderoba, musi pan za wszelką cenę walizkę doręczyć Laubemu i to tylko Laubemu.

Walizki musi pan strzec jak oka w głowie. Nawet na chwilę nie wolno jej z rąk wypuszczać...

— A gdyby na cie podejrzewano cośkolwiek?...

— Ach, mogą pruć, panie Kanner, — uśmiechnął się z politowaniem Geheimrat — byleby pan skrętnie zabrał każdy strzép i zawiózł do Warszawy. Mogą pruć, nie operuję trickami małościasteczkowego przemysłownika...

— Chciałem tylko wiedzieć, co mi grozi, gdyby na granicy polska policja... — wtrącił nieśmiało Kanner.

— Na granicy nic panu nie grozi. Jedyne niebezpieczeństwo, gdyby pan niedokładnie wypełnił moje polecenie. W Warszawie na dworcu Wiedeńskim czekać będzie na pana automobil. Pozna go pan zaraz. Będzie to duża czerwona „Minerwa.“ Przy kierownicy będzie siedział szofer w jasnym angielskim palcie. W wozie zobaczy pan człowieka w szklach amerykańskich. Bez chwili wahania musi pan wsiąść do tego automobilu. Niech pan unika wszelkich pytań i rozglądań się na dworcu. Tam może być gorąco... Auto ruszy zaraz z miejsca i zawiezie pana do firmy „Wronczyk i Laube.“ Laubemu odda pan walizkę i jego poleceń musi pan ściśle słuchać. Wolałbym, aby jeszcze tego samego dnia opuścił pan Warszawę. Honorarium pańskie za tę drobną przysługę wyniesie pięć tysięcy marek.

— A gdyby zamknięto granicę i nie wypuszczono mnie z Warszawy?...

Teitelberg zaśmiał się.

— Jest pan obywatelem niemieckim i człowiekiem neutralnym. Warszawa nie miałaby powodu przetrzymywać tak sympatycznego człowieka...

Geheimrat Teitelberg wyciągnął z kieszeni olbrzymie skórzane etui, wyjął grube cygaro hawańskie i podał gościowi. Kanner wziął łapczywie cygaro, starannie je obciął i zapalił.

— No, więc jedzie pan jutro? — spytał Teitelberg, wpadając nagle w serdeczny ton.

— Jadę, panie baronie. Żaden Niemiec nie uchyla się od swych patriotycznych obowiązków.

— Zwłaszcza gdy ciężar obowiązku owinięty jest w niemieckie tysiącmarkówki... — zaśmiał się rubasznie Teitelberg. — No, ale pora dać panu walizkę, paszport i trochę pieniędzy na drogę.

Z trudem dźwignął się Teitelberg z głębokiego fotela, z kieszeni wyciągnął pęk błyszczących kluczy i wszedł wolno do drugiego pokoju.

Kanner patrzył w ogień cygara i rozmyślał o szczegółach jutrzejszej podróży. Po chwili doszedł do jego uszu zgrzyt odsuwanych drzwi kasy i szelest papierów. Wreszcie usłyszał jakby stuk padającej na ziemię walizki. potem drzwi kasy zatrzęsnęły się gwałtownie, wywołując lekki wstrząs w pokoju.

Kanner spojrział na zegarek: dochodziła 12-ta. W domu u siebie na Sandbergertor — myślał, — będą autobilem za pół godziny, a więc dość czasu, aby wyspać się, wstać wcześniej rano i przygotować się do drogi. Kurjer ku granicy polskiej odchodzi około godziny 8-ej rano...

Ciekaw był niezmiernie, ile też Teitelberg wyasygnuje mu na drogę. Zgóry wiedział, że nie będzie to zawrotna suma, ale może i lepiej... Gdyby go w drodze przyłapano, mógłby łatwiej wpaść w podejrzenie, mając znaczną gotówkę przy sobie. Niebezpieczeństwa zbytnio nie obawiał się. Nie po raz pierwszy wyjeżdżał do Warszawy. Zresztą znał dobrze Teitelberga i wiedział, że jego kalkulacje i plany obliczane są zawsze bez ryzyka. A gdyby wpadł?... Niemiecka sieć szpiegowska doskonale jest zorganizowana w Warszawie. Za kilkanaście godzin wiedziano już o tem w Berlinie. Nie wątpił ani na chwilę, że wpływy Geheimrata są tak olbrzymie, że wy dostałby go z łatwością nawet z poza siódmej kraty. Ale zawsze lepiej bez niespodzianek... Za pięć tysięcy marek nie warto zbytnio łba nadstawiać.

W myślach operował już Kanner zarobioną gotówką. Dogasające cygaro przerwało jego kalkulacje. Wstał, aby zadusić niedopałek w popielniczce. Powoli zaczęła go ogarniać senność. Spojrział znów na zegarek: dochodziła godzina 1-sza.

Kanner nie mógł zrozumieć, co też Geheimrat tak długo robi w przyległym pokoju. Przeszedł się w kierunku drzwi i spojrział do wnętrza. Światło było w pokoju zgaszone, a koralowa zasłona nie pozwalając wzrokiem przebić ciemności. Zrezygnowany usiadł zpowrotem. Senność jednak coraz bardziej zaczęła go opanowywać, obawiał się, że zaśnie w wygodnym fotelu. Wstał i miarowym krokiem zaczął przemierzać gabinet.

Geheimrat Teitelberg nie wracał.

Na ulicy rozległ się nagle sygnał automobilonowy. Kanner podszedł do okna. Przed bramą zatrzymała się duża, błyszcząca limuzyna. To baronowa Teitelberg i panna Erika wróciły z teatru.

Za chwilę obie panie w bogatych płaszczach brokatowych obszytych kosztownym futrem weszły do gabinetu. Kanner uklonił się z wyszukaną uprzejmością.

— Pan czeka na ojca??— spytała panna Erika zdziwiona obecnością tak późnego gościa.

— Tak, czekam. Pan baron wszedł do drugiego pokoju i już od godziny nie wraca.

Młoda dziewczyna spojrzała niedowierzająco na gościa, szybko rozchyliła koralową zasłonę weszła do przyległego pokoju. Panowała tam zupełna cisza. Odkręciła taster. W pokoju nie było nikogo. Zdziwiona wróciła do gabinetu.



— Ależ, panno Eriko, zapewniam, że ojciec był w drugim pokoju.

— Pan chyba żartuje, — odpowiedziała zniecierpliwiona. — Stamtąd przecież niema drugiego wyjścia.

W oczach Kanner'a odmalowało się przerażenie.

Baronowa Teitelberg nacisnęła dzwonek. Wszedł Johann.

— Czy pan baron zeszedł na dół? — spytała nerwowo.

— Nie, pan baron w swoim gabinecie był i rozmawiał z tym panem, — służbiście odpowiedział lokaj.

Sytuacja stała się nieznośna. Obecni patrzyli na siebie skonsternowani. Zaalarmowano całą służbę. Po chwili willa oświetlona była rżęsiście. Przeszukano wszystkie pokoje i zakamarki, ale bezskutecznie. Baron Teitelberg jakby zapadł się pod ziemię.

Blady z przerażenia Kanner pobiegł do telefonu i zawiadomił policję o tajemniczym wypadku.

## II.

### PIERWSZE ŚLADY.

Zaciszny gabinet barona Teitelberga był teraz rzęsiście oświetlony.

W ogromnym fotelu, w którym przed kilku jeszcze godzinami tkwił olbrzymi korpus Geheimrata, siedział teraz urzędnik policyjny i przesłuchiwał świadków wypadku. Zeznawał kierownik jednej z fabryk Teitelberga. Salomon Kanner. Baronowa i panna Erika siedziały ciągle jeszcze w płaszczach wieczorowych i słuchały w niemem skupieniu zeznań tego najważniejszego świadka. Przez bladą twarz baronowej przebiegały od czasu do czasu nerwowe drgnienia, w jej dużych, pięknych oczach szklily się krople łez. Usta poruszały się jakby chciały coś dopowiedzieć. Panna Erika położyła rękę na ramieniu matki, i miękkim dotknięciem targała się ją uspokoić.

W sąsiednim pokoju agenci policyjni przeprowadzali dokładne badania podłogi i ścian.

— Więc twierdzi pan stanowczo, że baron Teitelberg nie mógł przejść przez ten pokój niespotrzeżony przez pana? — pytał urzędnik policyjny.

— Tak twierdzą. Cały czas byłem zwrócony twarzą do pokoju, więc byłbym musiał zauważyć barona, gdyby opuścił sąsiedni pokój i przechodził przez swój gabinet, — tłumaczył Kanner, skubiąc palcami bezmyślnie nitki przy wytartym rękawie.

— I nie słyszał pan w sąsiednim pokoju żadnego szamotania, żadnego wołania o pomoc?

— Nie słyszałem. Byłbym przecież podążył z pomocą, albo alarmował służbę...

— A może powie pan, w jakim celu baron wszedł do sąsiedniego pokoju?

— Miał mi wręczyć walizkę, paszport i pieniądze na wyjazd do Warszawy.

— Kiedy miał pan wyjechać?

— Dziś o godzinie ósmej rano, to jest pierwszym pociągiem, który zdąży ku polskiej granicy.

— W jakim celu miał pan odbyć tę podróż?

— Miałem doręczyć walizkę jednemu z przedstawicieli naszej firmy, która istnieje w Warszawie pod ukrytą nazwą „Wrończycy i Laube.“

— Co zawierała walizka?

— Nie wiem, baron nie mówił mi tego, a walizki na oczy nie widziałem.



— Czy uważa pan, że doręczenie tej walizki było dla barona sprawą ważną?

— Nie wiem?

— A jak tłumaczy pan tajemnicze zniknięcie?

Kanner rozłożył bezradnie ręce na znak, że nie rozumie i że w żaden sposób zagadki rozwiązać nie może.

Urządник policji kazał przywołać następnego świadka, służącego, który w chwili zniknięcia barona czuwał w korytarzu, gdy do gabinetu wszedł jakiś wysoki i niezwykle chudy człowiek. Małą, pomarszczoną twarz wykrzywił grymas niezadowolenia i złościwości. Siwe, jakby martwe, oczy przesłaniały rogowe okulary, które zdawały się być zbyt wielkim ciężarem dla małego, cienkiego nosa. Z chudych ramion spływał obszerny płaszcz angielski, wydłużając jeszcze bardziej przydługą sylwetkę. Szedł, opierając się na lasce, podobny do automatu, który wprawia w ruch rozluźniona sprężyna. Wolno podszedł do baronowej i złożył jej ukłon.

— Pozwoli pani, że i ja wezmę udział w śledztwie. Jestem radca policji Blindow, — powiedział sucho.

Baronowa gestem ręki wskazała mu miejsce obok siebie.

Blindow usiadł, oparł chude, suche ręce na gałce laski i bacznie wodził oczami po obecnych. Potem wzrok jego spoczął na twarzy Kanner,

zatrzymał się na niej długo, jakby chciał w jego małych oczach znaleźć rozwiązanie zagadki.

Zeznania służącego nie wyjaśniały zupełnie sprawy. Urzędnik policyjny chciał już zakończyć przesłuchanie tego świadka, gdy radca Blindow wmieszał się niespodzianie do śledztwa.

— Powiedźcie, Johann, kto miał klucz od gabinetu waszego pana? — spytał skrzeczącym głosem.

— Jeden klucz miał pan baron, drugi ja, trzeci pan sekretarz Hauner.

— Dobrze. A czy pan baron dawał wam jakieś specjalne zlecenia, czy kazał wam pilnować gabinetu z większą starannością, aniżeli innych pokoi?

— Tak jest. Pan baron nie pozwalał nikogo w czasie swej nieobecności wpuszczać do pokoju. Rozkazu tego zawsze przestrzegałem...

— Czy pan sekretarz Hauner często bywał w gabinecie swego szefa? — pytał dalej, jakby z rosnącym zaciekawieniem radca policji.

— Bardzo często, nieraz pan baron żalił się, że sekretarz zanadto tu gospodaruje, zapowiadał nawet, że odbierze mu klucz...

— A nie zauważyliście przypadkiem, aby pan baron odczuwał czasem jakiś lęk, czy przestrasz, gdy wchodził do swego gabinetu?

— Czasem. I dziś pan baron przeraził się tego, że ta koralowa zasłona kołysała się, gdy weszliśmy do pokoju. Ale pana barona zaraz uspokoiłem...

— W jaki sposób uspokoiście?

— Bardzo prosto. Wytłumaczyłem, że za-  
nadto gwałtownie otworzyłem drzwi i prąd  
powietrza poruszył zasłonę.

— Znakomicie — potwierdził z uznaniem radca  
Blindow.—A teraz wyjdźcie, Johann, z pokoju  
i otwórzcie gwałtownie drzwi, tak aby prąd  
powietrza znów tę zasłonę poruszył.

Johann wyszedł na korytarz, potem silnie  
i gwałtownie pchnął ciężkie drzwi do pokoju.  
Zasłona stała nieruchomo.

— Jeszcze raz powtórzcie ten eksperyment,  
— rozkazał Blindow.

Służący jeszcze z większą siłą i energją pchnął  
drzwi, ale zasłona stała dalej nieruchomo i ani  
jedna nitka nie drgnęła.

— Doskonale, — powtórzył radca Blindow. Po-  
tem wstał i przeszedł do sąsiedniego pokoju.

Urzędnik policji i kilku wywiadowców udało  
się za nim. Z niezwykłą starannością obejrzał  
radca policji tapety na ścianach, potem laską  
wystukiwał każdy centymetr podłogi, oglądał  
z zaciekawieniem każdy mebel.

— Czy zauważyli panowie coś podejrzanego?  
— spytał wreszcie urzędnika policji.

— Bezwarunkowo nie, mimo iż opukaliśmy ściany i podłogę. Ten pokój nie ma połączenia z resztą domu.

Radca policji spojrział zjadliwie na swego podwładnego, wskazał laską na stary gdański kominek.

— A to co? — spytał niechętnie. — Czy zbadał pan przynajmniej, gdzie wylot komina prowadzi?

Johann pospieszył z odpowiedzią:

— Ten kominek łączy się z pokojem gościnnym na dole i z rupieciarnią na strychu...

— Dobrze. Chodźmy więc tam, może znajdą się ślady...

Zeszli w dół po głównych schodach, potem korytarzem doszli do drzwi pokojów gościnnych. Pokoje te, tak samo jak gabinet, na pierwszym piętrze były znacznie oddalone od reszty mieszkania. Johann pobiegł do kuchni, by przynieść klucz. Tymczasem Blindow wyjął z kieszeni blok, skreślił kilka słów na papierze i podał jednemu z agentów policyjnych.

— Pojedzie pan mojem autem do dyrekcji policji. Tam wręczy pan kartkę i załatwi sprawę. Za pół godziny oczekuję pana zpowrotem.

Zaledwie agent oddalił się, służący wrócił z silnie skonsternowaną miną.

— Panie radco, — mówił zmieszany. — Klucz od gościnnych pokojów wisiał zawsze na kółku w kuchni pod liczbą 26, — a teraz znikł bez śladu...

— Jakto? Teraz w tej chwili?

— Nie wiem czy w tej chwili, bo pokoje gościnne oddawna są niezamieszkałe, nie zwracałem więc specjalnej uwagi, kiedy klucz zginął...

— Jak dawno nikt w tych pokojach nie mieszka? — spytał surowo Blindow.

— Chyba już kilka miesięcy. A może i pół roku. Ostatni raz sprzątaaliśmy tam, gdy brat pana Geheimrata przyjechał z Augsburga...

Wobec braku klucza, radca Blindow kazał otworzyć drzwi wytrychem. Skomplikowany zamek niełatwo jednak ustępował pod naciskiem. Dopiero po mozolnej pracy zdołano otworzyć drzwi.

Z ciemnego wnętrza pokoju musnęło twarze wchodzących miłe ciepło. Zapach perfum drażnił przyjemnie nozdrza.

Johann przekręcił taster. Światło alabastrowej lampy wyłociło każdy kąt pokoju. Blindow podszedł do kominka. Ciepły jeszcze popiół wskazywał, że dopiero niedawno wygasł ogień w palenisku.

— Dziwnie ciepło, jak na opuszczony pokój, — mruknął radca policji i spojrzał pytająco na obecnych.

Służący starał się wykrztusić jakieś s'owa usprawiedliwienia, ale strzepnął tylko palcami na znak, że i on nic nie rozumie.

W kącie pokoju, tuż obok kominka, stała szeroka turecka otomana przykryta olbrzymim

lśniącym bucharem, który spływał lekko miękkimi falami z otomany i ścielił się wzdłuż pokoju. Kilkanaście miękkich, okrągłych poduszek zapraszało do miłosnych uniesień. Bogate dywany rozwieszono na ścianach obiecywały tłumić szepty wyznań miłosnych.

Radca Blindow podszedł do okna. Okna były szczelnie zamknięte, okiennice obite grubym wołokiem. Ani jeden promień światła, ani szmer jednego słowa nie mógł z tego pokoju przedostać się na zewnątrz.

Policja przeszła do następnego pokoju. Był to szablonowo umeblowany pokój gościnny, z dwoma silnymi filarami gotyckimi, które zdawały się być rozmyślnie umieszczone, aby podtrzymać zbyt wielki ciężar stropu. I w tym pokoju okna przysłonięte były okiennicami, obitemi wołokiem. Duża jesionowa konsola, kilka reprodukcji obrazów malarzy włoskich, wygodne mosiężne łóżko, stanowiły główne umeblowanie.

Radca Blindow zmierzał w głąb pokoju, gdy urzędnik policji ścisnął go mocno za rękę, jakby go przed czemś ostrzegał. Wzrok radcy policji padł na ziemię. Na jasnym kokosowym chodniku znaczyły się czarne ślady ludzkich stóp. Ślady prowadziły w kierunku okna. Jeden z agentów ukląkł i dotknął lekko ręką. Na palcu odbiła się czarna, tłusta plama.

— Sadza, — mruknął obojętnie Blindow i podszedł do okna.

Na parapecie okna jak duża, czarna gwiazda, odbity był ślad ręki ludzkiej.

Radca policji wpatrywał się chwilę w czarną plamę, widocznie starał się z niej odtworzyć postać całego człowieka. Potem silnie pchnął ramę okienną. Okiennice obite grubym wojłokiem ustąpiły natychmiast. Do wnętrza mieszkania wpadł prąd zimnego, wilgotnego powietrza. Podmuch wiatru wpędził do pokoju kilka mokrych, żółtych liści. Blindow przytrzymał ręką okiennice i patrzył długo w czarną otchłań nocy. Zdawało się, iż stary urzędnik policji wsłuchuje się w miarowy plusk kropel deszczu i wiatru, jakby z ich szelestu miał odkryć tajemnicę tej willi. Potem spokojnie przymknął okno i zawołał agentów.

— To okno prowadzi do parku, — tłumaczył spokojnie. — Dwóch panów przy pomocy latarni zbada jak daleko i dokąd ślady te prowadzą. Ziemia jest mokra, więc praca nie będzie trudna. Badania proszę starannie prowadzić, a gwarantuję, że znajdą panowie w ogrodzie bardzo ciekawy przedmiot. Za kilka minut proszę o dokładny raport. Jeden z panów zrobi pomiar i odbitki śladów w pokoju. Ja wracam jeszcze na pierwsze piętro...

Gdy Blindow z urzędnikiem policji wracali przez klatkę schodową, doszedł do ich uszu tłumiony szloch. Spojrzeli w głąb korytarza. Opierając się na ramieniu matki, szła panna Erika, tłumiąc spazmatyczny płacz. Bogaty płaszcz brokatowy zsunął się z jej nagich ramion i wlokł się, jak ruchoma barwna plama, po ziemi. Duży chart syberyjski szedł obok niej i tulił rasowy łeb w miękki jedwab sukni. Urzędnik policyjny podbiegł, aby płaszcz podtrzymać, ale baronowa Teitelberg wstrzymała go gestem ręki. W jej oczach odbił się wyraz jakiejś strasznej nienawiści. Chart zjeżył sierść i groźnie błysnął kłami.

— Nic nie rozumiem, — mruknął urzędnik policji do siebie, skonsternowany tym drobnym wypadkiem.

— Zato ja domyślam się przyczyn tego nastroju, — burknął niechętnie Blindow.

— <sup>W</sup>ięc sądzi pan radca, że Teitelberg w jakimś tajemniczym celu wydostał się z willi przez otwór kominka?...

— Coś podobnego nigdy nie świtało w mojej głowie, — zironją odpowiedział radca. — Jakim celu miałby Teitelberg to czynić, jeśli mógł spokojnie zejść po schodach.

— Więc gdzie zniknął?

— Ależ jest u siebie w gabinecie, — uśmiechnął się starzec z jakąś złośliwością.



Urzędnik policji spojrział zdumiony na chudą zmiętą twarz swego przełożonego. Nastąpiła chwila przykrej ciszy. Wreszcie oczami odszukał oczy detektywa. Nic w nich jednak nie wyczytał, były jak martwe.

Zaledwie weszli do gabinetu, zgłosił się agent, donosząc służbiście, że spełnił dokładnie w dyrekcji policji pisemne polecenie.

— Kartę doręczono? — spytał Blindow.

— Doręczono.

— Ludzie z narzędziami są?

— Są.

— Doskonale, niech zaraz tu wejdą, — rozkazał krótko Blindow.

Weszło czterech robotników, niosąc dźwigiary i bańki z acetyliną i tlenem. Wprowadzono ich do pokoju, z którego przed kilku godzinami znikł w tajemniczy sposób baron Teitelberg.

Radca policji wskazał im łaską olbrzymią kasę pancerną.

— Proszę natychmiast kasę otworzyć, — rozkazał krótko.

Robotnicy patrzyli z niedowierzaniem, wreszcie jeden z nich nieśmiało wyjawiał swe skrupuły:

— Panie radco, to kuta „pancerka“, za kilka nawet godzin nie będziemy z nią gotowi...

— Za pół godziny kasa powinna być otwarta, tłumaczył — Blindow. — Wziąć ją zaraz na dźwigary i położyć na bok. Dno jest cienkie, puści jak wosk.

Robotnicy podsunęli dźwigary. Korby z jakimś złowróbnym zgrzytem podnosiły powoli olbrzyma do góry. Potem skrecono kasę w bok i wolno zaczęto opuszczać na ziemię. Obliczenia radcy Blindowa okazały się jednak błędne. Dopiero po upływie godziny zdołano przysunąć bańki z acyteliną i tlenem do dna pancерnej szafy. Długi niebieski język o temperaturze dochodzącej do 2000 stopni C. z głu-chym warkotem lizał wypolerowaną stalową tafłę.

Ale radca Blindow jakby stracił poczucie czasu. Ukląkł obok kominka i przy pomocy silnej lampy elektrycznej i lupy, badał każdy, najdrobniejszy ślad na podłodze i dywanie. Badania nie musiały jednak dawać pożądaných rezultatów, bo jego poprzecinana głębokimi zmarszczkami twarz jeszcze bardziej się skurczyła, a na długich, wąskich ustach wystąpił grymas zniechęcenia. Wreszcie Blindow wstał z klęczek, obejrzał raz jeszcze dokładnie każdy mebel i kominek i podszedł do okna. Długo bębnił w zamyśleniu palcami po weneckiej szybie.

Robotnicy kończyli tymczasem pracę. Na dnie kasy wypalone były ramy dużego kwa-

dratu. Płyta jednak nie puszczała. Teraz łomem starano się kwadrat usunąć. Blindow odsunął się od okna i oczami kontrolował każdy ruch robotników. Wreszcie zaczęto wyważać płytę, która szczerbami trzymała się mocno dna. Niebieski płomyk kończył pracę. Wspólnym wysiłkiem naciśnięto jeszcze raz kwadrat dużymi łomami. Płyta z głuchym trzaskiem odpadła. Robotnicy odskoczyli wtył z wysiłku i przerażenia.

Z otworu wysunęły się dwie olbrzymie stopy człowieka, obciśnięte w szerokie amerykańskie kamasze.

Robotnicy patrzyli z przerażeniem na radcę policji.

Blindow zwrócił się teraz do agentów:

— Proszę wolno i ostrożnie wysunąć tego człowieka.

Przez otwór olbrzymiego stalowego pudła zaczęły powoli wysuwać się zwłoki barona Teitelberga. Ostrożnie ułożono je na otomanie. Czaszka Geheimrata była formalnie zmiażdżona. Na zlepionych wilgotną krzepnącą krwią włosach znaczyły się białe, drobne części mózgu. Olbrzymie gałki oczne patrzyły uporczywie w sufit. Dolna szczęka zwisała bezwładnie. Z ust wysunął się język, jak gruby, siny knebel. Opuchłe palce zwinęły się wskutek skurczu

pośmiertnego w kulak i zdawało się, że lada chwila Geheimrat uderzy w niewidzialnego wroga.

Blindow zbliżył się do zwłok. Patrzył w potwornie zeszpeconą twarz i ranę, dotykał ostrożnie ubrania zmarłego. Po chwili zerwał ze ściany stary gobelin i przykrył nim zwłoki zamordowanego. Teraz zwrócił się do agentów.

— Proszę wypróżnić kasę.

Przez głęboki otwór zaczęto wysuwać pliki papierów wartościowych, listów z grubemi pieczęciami, książeczek czekowych i depozytowych, rękopisów, planów i biletów bankowych z kolorowemi opaskami.

Na podłodze piętrzył się coraz wyższy stos, ale radca Blindow z coraz większem zniecierpliwieniem i niezadowoleniem patrzył w otwór kasy.

— Proszę wyciągnąć małą skórzaną walizkę, — rzucił opryskliwie.

Wypróżniono wnętrze stalowego olbrzyma, ale walizki nie znaleziono. Jeden z agentów wsunął się nawet do połowy ciała w wybity otwór i lampką elektryczną oświetlił wnętrze kasy.

— Żadnej walizki tu niema, — oświadczył stanowczo.

Blindow z pasją stuknął laską w podłogę. Z naciśniętych ust wyrwał mu się tłumiony pasją okrzyk:

— Sprytna była kanalja...

Papiery wsunięto zpowrotem do kasy, wlurowano prowizorycznie kwadrat i opieczetowano pieczęciami urzędowymi. Teraz przywołano służącego.

— Johann, twój pan nie żyje, — powiedział Blindow nieco łagodniejszym tonem. — Trzeba ostrożnie przygotować panie na tragiczną wiadomość... Kasa jest opieczetowana, ale na żądanie pani baronowej każdej chwili możemy pieczęcie usunąć. A teraz idziemy. Dobranoc.

Johann nie odpowiedział. Stał ciągle w progu, jakby nie śmiał podejść bliżej. Oczy służącego z wyrazem przestachu błędziły po gobelinie, pod którym rysowały się, jak olbrzymia bryła, zwłoki Geheimrata Teitelberga.

Gdy radca policji Blindow wyszedł na ulicę, szarzało. Deszcz ustał, mgła rozsnuwała się wolno, wróżąc pogodny dzień jesienny. Blindow polecił wsiąść agentom do automobilu, sam zamierzał iść pieszo do miasta. Zmęczone płuca starego detektywa chłoneły chętnie chłód rannego powietrza. Lekki wiatr chłodził rozpalone policzki i skronie. Wesoly świergot wróbla uspakajał obolałe nerwy.

Blindow szedł wolno, na skrócie ulicy odwrócił się, by raz jeszcze spojrzeć na biały, barokowy pałacyk, którego mury osłaniały tajemnicę zbrodni. Stał dobrą chwilę i patrzył. Nagle spostrzegł, że brama willi barona Teitel-

berga uchyliła się ostrożnie. Z wnętrza wysunęła się jakaś zgrabna postać czarno ubranej kobiety. Rozglądała się chwilę, jakby namyślając się, czy iść dalej. Wreszcie zeszła na chodnik i szła szybko w kierunku miasta. Blindow zwolnił kroku. Za chwilę wyminęli się. Młoda dziewczyna uśmiechnęła się wyzywająco, jakby chciała prowokować chudego pana.

Blindowa uderzyły jej głęboko podmalowane oczy, silnie wykarminowane, piękne mięsiste usta. Pod czarnym płaszczykiem dostrzegł biały fartuszek pokojówki.

— Dziwny dom, — mruknął Blindow do siebie.

\*

\*

\*

### III.

#### W DYREKCJI POLICJI.

Radca Blindow szedł dziś wyjątkowo zmęczony do biura. Nieprzespana noc, całe kłębowisko domysłów i kombinacji, jakie snuł dookoła zbrodni na Grunewaldzie, wyczerpały go mocno. Na pomarszczoną twarz wystąpiły gorączkowe plamy, z pod olbrzymich szkieł zeissowskich błyszcząły oczy, zdradzające silne podniecenie. Krok radcy był bardziej chwiejny i niedołężny.

Stary detektyw zdawał sobie dokładnie sprawę z tego, że czeka go nie mały trud. Już w południe „B. Z. am Mittag“ rozniesie po całych Niemczech wiadomość o tragicznym wypadku potentata giełdy, przemysłu i polityki. Prasa, społeczeństwo, a na pewno i rząd nie dadzą mu spocząć, aż sprawca znajdzie się pod kluczem. I jeśliby nawet sprawca znalazł się w więzieniu, to tajemnica i tak nie będzie rozwikłana, dopóki nie odnajdzie się i... walizka. A może odnalezienie walizki będzie ważniejszą osią sprawy niż zbrodnia...

Ale Blindow lubił niezwykłą grę. W swojej tyloletniej karierze policyjnej rozwikłał dużo trudnych i powikłanych spraw. Zawsze wychodził zwycięsko. Znano go też jako zdolnego i energicznego detektywa i powierzano mu najtrudniejsze śledztwa. Nie zawiódł nigdy zaufania. Żartobliwie nazywano go nawet jasnowidzem.

Nadzieja szczęśliwego rozwiązania zagadki grunewaldzkiej, miała dla Blindowa podwójne znaczenie: — Najpierw morderca nie był przeciwnym zbrodniarzem, wskazywał na to sposób w jaki popełniono morderstwo. Wszystko było przemyślane do najdrobniejszego szczegółu, a wykonane nie z odwagą, ale wprost z zuchwalstwem. Zmierzenie się z takim przeciwnikiem dogadzało ambicji Blindowa. Dalej, w tym roku zamierzał Blindow przejść na emeryturę. Nadarzała się więc znakomita sposobność do zdobycia jeszcze jednego wieńca laurowego, — a lepiej zejść z areny w pełni chwały, niż w zapomnieniu. Wkońcu i premja pieniężna nie była dla niego, człowieka obdarzonego liczną rodziną, obojętna...

— Ale czy uda się? — ogarniały go nagle wątpliwości. Odpędzał je szybko. Był człowiekiem o niezwykle silnej woli. Wiedział, że każda, najdrobniejsza nawet nieufność w własne siły może zwichnąć i sparaliżować całe dzieło.



Umiał sam sobie narzucić wiarę w powodzenie. I to niejednokrotnie dodawało mu sił i energii w chwilach, gdy wszystko zdawało się już być stracone.

Głęboko zamyślony wszedł Blindow do swego pokoju służbowego. Lubił ten mały, zaciszny gabinet. Tu, w tych czterech ścianach, ozdobionych szablonowem malowidłem, w tym ciężkim wygniecionym fotelu, najlepiej myślał i pracował. Tu, na mocy prawa ścisłego rozumowania i logiki, wyciągania wniosków z najbardziej nawet błahych szczegółów, sporządzał sieci, w które każdy zbrodniarz wcześniej, czy później musiał się zaplątać.

Dwadzieścia lat pracował w tym pokoju, nazywanym powszechnie „mózgiem policji kryminalnej.“ Ile niezwykle ciekawych historyj, ile szczegółów grozą przejmujących zbrodni mogły opowiedzieć te szare, tak niepozorne ściany?

Blindow usiadł przy biurku. Ręką podparł rozgorączkowane czoło. Potem wziął do ręki pióro i bezmyślnie wodził niem po éwiartce papieru. Na białej kartce powstawały jakieś dziwaczne figury, kubistyczne bryły, fantastyczne zygzaki. Pióro poruszało się coraz szybciej, rysunek stawał się coraz bardziej wyraźny, aż wreszcie linje upodobały się coraz bardziej do planu willi i ogrodu na Grunewaldzie.

Radca Blindow układał i porządkował w myślach przeżycia i wrażenia dzisiejszej nocy. Pochłoneły one tak jego uwagę, że nie zauważył nawet, jak drzwi wolno uchyliły się i woźny wszedł do pokoju.

— Pan prezydent prosi, — oznajmił woźny, przerywając zamyślenie starego człowieka.

Radca policji spojrział z niechęcią na wygalowaną postać.

— Czego sobie pan prezydent życzy? — spytał szorstko.

— Nie wiem. Sprawa jednak musi być bardzo ważna, bo kilkakrotnie posyłał mnie już po pana radcę i bardzo się niecierpliwił...

Blindow podniósł się wolno z fotela, na twarzy zarysował się grymas niezadowolenia.

Z prezydentem policji łączyły Blindowa mniej niż ozięble stosunki. Powodem tego była niewątpliwie różnica usposobień. Blindow był zgryźliwy, nieuprzejmy i małowówny — prezydent Hauken swobodny w zachowaniu, pogodny, uważający bardzo na formy towarzyskie. Blindow rozumiał doskonale, że jest w policji potrzebny, że wiele rzeczy bez niego nie dałoby się przeprowadzić i tę pewność wykorzystywał wobec Haukena. Nie jednało mu to oczywiście sympatji wysokiego dygnitarza. Obydwa więc starali się możliwie rzadko ze sobą stykać.

W dużym, wytwornie urządzonej gabinecie, pod portretem głowy państwa, generała Hindenburga, siedział przy biurku prezydent policji Hauken. Obok niego wsunął się w głęboki klubowy fotel jakiś siwy, starannie ubrany mężczyzna. Blindow złożył swemu szefowi chłodny ukłon.

— Pan prezydent wezwał mnie do siebie, — zaczął szorstko.

— Ośmieliłem się pana prosić, — poprawił Hauken. — Zmusiła mnie do tego bardzo ważna sprawa. Ale pozwoli pan, że najpierw przedstawię mu doktora Rauburga — podsekretarza stanu w ministerstwie spraw zagranicznych.

Siwy, starannie ubrany pan wstał z fotela i złożył głęboki ukłon. Blindow przypatrzył mu się badawczo.

Hauken wyciągnął pudło z cygarami, poczęstował obu gości cygarem hawańskim, potem wskazał ręką miejsca w fotelach obok swego biurka.

— Ośmieliłem się pana radcę prosić w bardzo ważnej sprawie, — zaczął wolno szef policji. — Dorozumiewa się pan zapewne, że chodzi o sprawę tragicznej śmierci barona Teitelberga. O morderstwie tem mówi już całe miasto i niewątpliwie za godzinę wydadzą pisma nadzwyczajne dodatki. Ale ważniejsze jeszcze od interesowania się sprawą opinii naszego miasta, jest fakt, że

tragiczna śmierć barona wywołała pewne komplikacje w ministerstwie spraw zagranicznych. Baron Teitelberg brał bowiem żywy udział w polityce i z ministerstwem spraw zagranicznych łączyło go wiele wspólnych prac i projektów...

— Czy ta... walizka? — przerwał niespodzianie radca Blindow, puszczejac niedbale z ust kłęby niebieskiego dymu.

To nagłe pytanie skonsternowało silnie Haukena i doktora Rauburga.

— Tak, właśnie ta walizka... Czy zna pan radca może jakieś bliższe szczegóły tej sprawy? — spytał nerwowo podsekretarz stanu.

— Nie, nie znam.

— Skąd więc pańskie przypuszczenia?

— Zupełnie uzasadnione, — tłumaczył Blindow. — Morderstwo nie miało podkładu rabunkowego. Ani jedna marka nie zginęła z kasy, ani z kieszeni barona Teitelberga. Jeśli zaś tłem morderstwa nie był rabunek, — to musiały być inne przyczyny. Jeszcze ściślej mówiąc: zamordowano barona, aby osiąść walizkę.

— Więc walizka zginęła? — spytał Rauburg, nie mogąc ukryć niepokoju.

Blindow nie odpowiedział na pytanie. Nastąpiła chwila ciszy. Podsekretarz stanu przebiegał palcami po listwie biurka, jak po klawiaturze. Po minucie ochłonął z przykrego wrażenia i spytał:

— A nie domyśla się pan radca, kto mógł ją zrabować, lub gdzie ją ukryto?

— Nie domyślam się, — lakonicznie odpowiedział Blindow.

Do rozmowy wtrącił się teraz prezydent Hauken, którego denerwowały wymijające odpowiedzi podwładnego. Zauważył też z przekąsem:

— Pan radca nie grzeszy wielomównością. Oczekiwaliśmy pana z niecierpliwością, aby dowiedzieć się szczegółów zbrodni. Niestety z niezrozumiałych powodów postanowił nas pan nie wtajemniczać...

— Przeciwnie, panie prezydencie, — spokojnie odparł Blindow. — Nie wiedziałem, że żąda pan raportu urzędowego. Mogę go zdać natychmiast...

— Słucham pana.

— W nocy o godzinie pierwszej, — spokojnie mówił Blindow — zawiadomiono telefonicznie policję kryminalną, że baron Teitelberg w tajemniczy sposób znikł ze swej willi. Wydelegowałem bezzwłocznie na Grunewald czterech agentów i jednego urzędnika. Sam pojechałem rozmyślnie o kilka minut później, aby niepostrzeżenie prowadzić pewne badania w chwili, gdy cała uwaga skoncentrowana będzie na urzędniku i agentach. Gdy policja prowadziła śledztwo w mieszkaniu, ja zbadałem ogród i ulicę. Po upływie godziny znalazłem się w ga-

biniecie barona i z ciekawością przysłuchiwałem się zeznaniom dwóch najważniejszych świadków tajemniczego wypadku: służącego i kierownika jednej z fabryk Teitelberga, niejakiego Salomona Kannerera. Z zeznań tych świadków zdołałem sobie wyrobić sąd o wypadku. Zgóry wiedziałem, że baron Teitelberg, człowiek wysoki, olbrzymiej tuszy, astmatyczny i skłonny do apopleksji, niezdolny jest do ryzykownych ruchów, a tem mniej ekwilibrystyki. Dlatego ani przez chwilę nie ludziłem się, by Teitelberg wyszedł poza obręb swego gabinetu, lub przyległego pokoju. W gabinecie nie mógł się ukryć, nie było tam odpowiedniego miejsca. Wszedłem więc do drugiego pokoju. Tu bezzwłocznie zrozumiałem sytuację. W rogu stała olbrzymia szafa pancerna, tak wielka, że wysoki człowiek bez pochylenia głowy mógł się w niej zmieścić. Kasa nie miała progu, zaledwie trzycentymetrowa płyta dzieliła podłogę od opancerzonych drzwi. Tuż obok kasy dywan był mocno sfałdowany. Zrozumiałem wszystko.

Najważniejszą kwestją było pytanie, czy baron Teitelberg żyje. Spojrzałem na zegarek, — była godzina trzecia po północy. Z zeznań zaś Kannerera i z czasu przyjazdu pań z opery ustaliłem ponad wszelką wątpliwość, że baron wszedł na kilka minut przed północą do pokoju, z którego już niestety nie wrócił. Upłynęły

więc pełne trzy godziny. Nie mogłem się ludzić, by Teitelberg żył jeszcze. Mimo to stanąłem obok kasy i wyteżyłem słuch. Najmniejszy szmer nie doszedł do mego ucha. Po chwili odstałem od pancерnej szafy i rozpocząłem badania śladów.

Nie trudno było domyśleć się, którądy zbrodniarz wszedł. Jedyne wejście mógł być kominek. Zastanowiło mnie jednak, dlaczego na dużym ponsowym dywanie nie znalazłem odbicia stóp przestępcy. Zagadkę tę rozwiązałem dopiero nad ranem. Badanie wyłotu komina sprowadziło nas na parter do gościnnych pokoi, które — wedle informacji służby były niezamieszkałe od szeregu miesięcy.

Początkowo służba nie mogła odszukać klucza do tych pokoi, musieliśmy użyć wytrycha. Zamiast jednak wyziębniętych, niezamieszkałych pokoi, zastaliśmy miłe, ciepłe gniazdko, jakby stworzone dla pieśczoty i miłości. Z tego gniazdkka przed naszym nosem wyfrunął tajemniczy ptak. Drogi nie potrzebował zbyt długo szukać. Przymknięte tylko okno prowadziło do ogrodu. Wystarczyło lekkie pchnięcie okiennicy i skok z dwumetrowej wysokości. W pokojach gościnnych znaleźliśmy obfity materiał dla śledztwa. Od paleniska kominka, aż do przymkniętego tylko okna, prowadziły ślady stóp człowieka odbite sadzą na jasnym

kokosowym chodniku. Na parapecie okna ujrzeliśmy odbicie ludzkiej dłoni, niestety ślady te nie dopomogą do wykrycia sprawcy.

— Dlaczego? — spytał zdziwiony prezydent policji.

— Zbrodniarz był niezwykle sprytny i dla zatarcia śladów ubrał się w jednolite, szczelne ubranie, jakiego używają zwykle piloci. Na nogi włożył grube skarpety, aby tłumić kroki. Na rękach miał rękawiczki. Cały ten strój mocno owałany sadzą znaleźli później agenci w ogrodzie. Przypuszczam, że zbrodniarz w tem przebraniu przeskoczył nawet parkan, na ulicy zdjął kostjum i rzucił go do ogrodu willi barona Teitelberga. Potem spokojnie już przeszedł kilkadziesiąt kroków przez główną aleję, skręcił w Edengasse, gdzie oczekiwali go towarzysze w automobilu. Do tego wniosku naprowadza mnie fakt, że na Edengasse natrafiłem na dość obfitą kałużę oliwy i benzyny samochodowej. Przypuszczam więc, że w tem miejscu stało auto przez godzinę, a może i dłużej i oczekiwano cierpliwie na sygnał z willi. Kilkanaście niedopałków papierosów porzuconych na jezdni upewnia mnie, że w automobilu musiało być kilka osób, które paleniem skracały sobie przydługie chwile oczekiwania.

— Więc uważa pan radca, że zbrodnia była aż tak skrupulatnie uplanowana?



— Tak sędzę. Co więcej, uważam że od szeregu miesięcy zbrodniarz był w ustawicznym kontakcie ze swoją ofiarą. Znał on doskonale plany barona Teitelberga, wystudjował jego zwyczaje i ruchy do najdrobniejszych nawet szczegółów. Nawet taka rzecz nie uszła jego uwagi, że baron Teitelberg wieczorem, jeśli szuka czegoś w kasie, nie zaświeca światła.

Zbrodniarz już poprzedniego dnia wiedział, że baron Teitelberg wezwie do swej willi kierownika fabryki, wręczy mu tajemniczą walizę i poleci mu w ciągu sześciu godzin wyjechać z Berlina. Dlatego, najmniej na godzinę przed przyjazdem barona na Grunewald, złoczyńca ukrył się w gabinecie. Gdy usłyszał sygnał trąbki automobilowej i głos Teitelberga w hallu, wszedł do kominka i tam czekał cierpliwie na dalszy bieg wypadków. Skoro tylko Kanner otrzymał polecenie wyjazdu, a baron wszedł do ciemnego pokoju, tajemniczy człowiek wysunął się z ukrycia i cicho w grubych skarpetach skradął się za plecami swej ofiary. Brzęk kluczy gwarantował złoczyńcy, że ofiara nie usłyszy najdrobniejszego nawet szmeru. Gdy kasa była otwarta, zbrodniarz wyrwał błyskawicznie z rąk barona walizkę, potem silnem pchnięciem rąk i całego ciała wpakował Teitelberga w żelazną szafę, drzwi zaś przytrzymał z tak piorunującą szybkością, że baron nie był w stanie

nawet krzyknąć. Ten zbrodniczy „trick“ był artystycznie wykonany, przez człowieka o atletycznej niemal sile. Przeciętny zbrodniarz nie odważyłby się na to nigdy. A mojem zdaniem — pomyślny dla zbrodniarza wynik uchronił kilka innych osób od śmierci...

— Jakto więc sądzi pan, że zbrodniarz planował zamach i na inne jeszcze osoby? — spytał zaciekawiony Hauken.

— Bezwątpienia. Zbrodniarz postanowił za wszelką cenę posiadać walizkę. Jeśliby więc nie udało mu się wepchnąć barona do kasy, byłby strzałem rewolwerowym uśmiercił Teitelberga i Kannerera i w ten sposób posiadał walizkę. Gdyby zaś i ten plan spał na panewce, wówczas weszliby na arenę ludzie, oczekujący w automobilu na Edengasse...

— Rzeczywiście łotry asekurowały się wspólnie... — przyznał prezydent policji.

— I dlatego właśnie przestępców nie można szukać w albumie zwykłych złoczyńców, — mówił z naciskiem Blindow — trzeba ich szukać na innem, bardziej szerokiem polu. I stąd ta olbrzymia trudność — kończył zamysłony starzec, jakby dopowiadał coś do własnych myśli.

— A nie podejrzewa pan zupełnie kto?... — wtrącił nieśmiało dr. Rauburg.

Blindow nie odpowiedział. Mądre oczy starego człowieka spoczęły na szybie okna, a myśli

zdawały się błędzić gdzieś daleko w mrowisku ludzkim wielkiego Berlina. Zdawało się, że oczy te szukają kogoś w tysiącnych krętych ulicach stolicy nad Sprewą, a może już widzą sprawcę krwawej zbrodni.

Rauburg i Hauken milczeli, nie chcąc przerwować zamyślenia detektywa. Tymczasem oddech Blindowa stawał się coraz szybszy i bardziej nerwowy. Zdawało się, że człowiek ten zmagają się z jakimiś ukrytymi myślami. Wreszcie oczy jego spoczęły na twarzy prezydenta policji.

— Pytają panowie, czy mam już kogoś w podejrzeniu? — mówił, uśmiechając się gorzko. — Bezwątpienia tak. Od chwili popełnienia zbrodni aż do wykrycia sprawcy musi dobry detektyw podejrzewać wszystkich bez wyjątku i nie wolno mu rozproszkować się na kilka tylko osób. Ja podejrzewam wiele osób, nawet bardzo wiele... — i długą kościstą ręką zakreślił detektyw koło, jakby chciał niem objąć olbrzymie miasto. — A teraz ośmielę się pana prezydenta prosić o wielką przysługę... — powiedział Blindow z dziwnym onieśmieleniem w głosie.

— Ależ słucham pana...

— Proszę sprawę morderstwa na Grunewaldzie poruczyć komuś innemu... Jestem przeciążony pracą. Fałszerstwa czekowe w „Deutsche Bank“ pochłaniają mnie zupełnie. A potem jestem już stary... Nie mogę pracować nad możność siły...

Prezydent policji spojrział z życzliwością na starego, rzeczywiście zmęczonego człowieka. Dawna niechęć nagle prysła. Hauken zaczął żałować, że niejednokrotnie dokuczał temu pracowitemu, wybitnie zdolnemu i uczciwemu człowiekowi. Dziś chciał błąd naprawić. Wstał z fotelu, oparł rękę na ramieniu swego podwładnego i szepnął wzruszony:

— Nie, panie Blindow, tego uczynić mi nie wolno... Sprawa jest zbyt ważna. Musi pan pamiętać, że tu w grę wchodzi nie morderca i jego ofiara, ale interes całego państwa. Poza panem nie mam człowieka, na którego mógłbym włożyć ten ciężar odpowiedzialności. Ale zapewniam pana, że wykrycie sprawcy mordu na Grunewaldzie i udaremnienie mu planów będzie już ostatnim trudem, jaki pan w służbie państwowej ponosi. Wkońcu zapewniam pana słowem honoru, że użyję całego wpływu, aby i materialnie wynagrodzono pana hojnie za ten wysiłek. No, cóż, zgoda?

Hauken wyciągnął rękę do Blindowa.

Stary radca policji patrzył chwilę badawczo w oczy swego przełożonego, potem wolno wyciągnął kościstą dłoń i złożył ją w ręce Haukena. Prezydent policji uścisnął serdecznie rękę swego urzędnika.

— A teraz, — mówił Blindow, odzyskując dawną równowagę, — chcę podyktować wa-

runki i na jakich rozpoczną pracę. Do pomocy przydzielili mi pan prezydent tego olbrzyma Glasgiera, bez względu na to, czy jest on zajęty obecnie inną sprawą, czy nie. Dalej, przydzieli pan sprawę morderstwa na Grunewaldzie równocześnie jednemu z moich młodszych kolegów i jego nazwisko poda pan reporterom dziennikarskim. Ja pragnę pozostać w cieniu, — bo tylko w ten sposób wierzę w powodzenie swojej sprawy. Trzecim zaś warunkiem jest, że nie wolno mnie pytać w czasie dochodzeń o nic, czego nie zechcę powiedzieć...

— Przyjmuję wszystkie warunki, — odpowiedział bez wahania prezydent policji.

— Z ostatnim wreszcie warunkiem — mówił Blindow — zwracam się pod adresem dr. Rauburga: Z ministerstwa spraw zagranicznych otrzymam wyczerpujące informacje o „Truscie P. Z.“!

Na dźwięk tych liter Rauburg zerwał się z fotelu, zdawało się, iż wszystka jego krew uciekła z twarzy do nóg, wyciągnął rękę wprzód, jakby chciał się zasłonić przed śmiertelnym ciosem. Blindow wpił się oczami w pobladłą twarz podsekretarza stanu i spytał, akcentując dobitnie każde słowo:

— Czy dobrze?

Rauburg nie mógł przyjść do siebie. Przeżalenie tamowało mu oddech.

— Ależ na miłość boską, skąd pan wie?...  
— spytał zmienionym głosem.

Blindow zaśmiał się cicho.

— Ach, drobiazg. Nie wiedziałem, że taką bagatelą aż tak pana przerażę.

Rauburg padł bezsilnie w fotel. Ręce jego drżały, jakby poruszane prądem elektrycznym. Na pobladłe czoło wystąpiły gęste krople potu. Rozszerzonymi z przerażenia źrenicami patrzył podsekretarz stanu w stalowe oczy detektywa.

— Czy dobrze? — ponowił pytanie Blindow.

— Ależ teraz, tu, w tej chwili, tak nagle, nie mogę dać odpowiedzi... — wyjąknął nieprzytomnie. — Muszę wpierw zapytać ministra... Odpowiedzialność zbyt wielka... Nie przypuszczałem, że będę zaskoczony...

Oczy Blindowa zmieniły barwę. Z koloru polerowanej stali, przeszły w ciemniejszy odcień. Na wąskie usta wystąpił zagadkowy uśmiech. Rzucił niedbale przez nos:

— Narazie nie myślę przypierać pana do ściany, teraz nie jest mi to potrzebne... Zadowolę się inną informacją. Jak przedstawiają się wedle dzisiejszych wiadomości stosunki polsko-litewskie?

— Wczoraj w nocy nastąpiło znaczne odprężenie sytuacji, — mówił Rauburg, ocierając krople potu z czoła. — Można przypuszczać, że groźna sytuacja narazie znikła. Litwa przy-

jęła ultimatum, zwolniła towar polski na Niemnie z pod aresztu. Stało się to, czego nie przypuszczaliśmy. Nie możemy wprost zrozumieć, co spowodowało tak nagłą zmianę. Widocznie jakaś niezwykle ważna sprawa, której nie zdołaliśmy przewidzieć. Może w tej chwili nadeszły już informacje z Kłajpedy...

— Więc baron Teitelberg bezpotrzebnie ekspedjował walizkę do Warszawy? — spytał cicho Blindow.

Dr. Rauburg jakby nie dosłyszał pytania, patrzył w kąt pokoju. Radca policji zmuszony był znów ponowić pytanie.

— Bezpotrzebnie, — potwierdził wreszcie cicho podsekretarz stanu.

Nastąpiła chwila przygnębiającej ciszy. Dr. Rauburg wstał z fotelu, wyglądał jakby w ciągu kilku minut postarzał się. Zaczął się żegnać. W drzwiach jeszcze odwrócił się, jakby chciał coś powiedzieć, ale poblądłe usta poruszyły się bez dźwięku. Dr. Rauburg zamknął drzwi za sobą.

Scena ta wywarła na prezydencie policji deprymujące wrażenie, wsłuchiwał się w odgłos kroków oddalającego się, potem spojrział na Blindowa. Radca policji siedział wciśnięty głęboko w fotel, pogrążony znów w jakichś ciężkich myślach.

Nagle na korytarzu rozległ się stłumiony huk. Blindow zerwał się błyskawicznie z fotela i wybiegł na korytarz, za nim podążył Hauken.

W korytarzu na podłodze leżał dr. Rauburg. Z jego skroni sączyła się cienka nitka krwi, wiała się koło ust, ściekała na białe flizy. W zaciśniętej ręce samobójcy błyszczał automatyczny pistolet.

Blindow pochylił się nad leżącym. Wpatrywał się bacznie w twarz zastrzelonego. Wkrótce spostrzegł, że oczy Rauburga tracą coraz bardziej błyski przytomności, a nogi drgają w kurczu przedśmiertnym.

— Co się jemu stało? — przerwał przerażony prezydent policji.

— Zastrzelił się, — odpowiedział krótko Blindow.

— Ależ jaki powód samobójstwa? — pytał nerwowo Hauken.

— W myśl naszej umowy, mogę nie odpowiadać na przedwczesne pytania, — spokojnie odpowiedział Blindow, i poszedł w kierunku swego biura.

\*

\*

\*



#### IV.

### MIESZKANIE NA PRZEDMIEŚCIU.

Pogodny dzień jesienny chylił się wolno ku końcowi. Złote promienie słoneczne zdawały się ciemnieć i nabierały czerwonej barwy. Od Sprewy wiał zimny, ostry wiatr i strącał z drzew ostatnie już liście.

Po dniu ciężkiej pracy, robotnicza dzielnica Berlina przygotowywała się do nocnego spoczynku. Coraz rzadsi przechodnie snuli się po źle brukowanych ulicach. Przed domami z czerwonej cegły zbierali się lokatorzy na ostatnią pogawędkę.

Od strony Hammertor szedł wysoki mężczyzna w czarnym, silnie podniszczonym palcie. Na skrawku ulicy, tuż obok wybrzeża, podniósł kołnierz do góry, aby uchronić się przed atakiem zimnego wiatru. Wciśnięty głęboko na głowę kapelusz, zasłaniał mu twarz do połowy. Szedł wolno, bo zmęczone nogi zdawały się zbyt ciężkie i odmawiać mu posłuszeństwa. Wygląd tego człowieka nie raził zupełnie na

tle nędznych domów i zmęczonego ciężką pracą, mrowiska ludzkiego. Prawdopodobnie jakiś buchalter, który wraca zziębnięty i zgłodniały po dziesięciogodzinnej pracy z dusznego kantoru fabrycznego...

Na Lerchenstraße człowiek w wytartym palcie zwolnił kroku, podniósł głowę do góry, jakby chciał odczytać numer domu. Potem wszedł do małej podmiejskiej restauracji. Gospodarz z wyszukaną uprzejmością przywitał gościa:

— Zbliża się zima, może jutro będzie śnieg?

— Pewnie będzie, — odpowiedział uprzejmie przybyły, rozcierając chude zziębnięte palce.

— A może kieliszek koniaku, mam bardzo dobry, stary „Stock.“

— Nie, dziękuję.

— Może herbatkę z rumem?

— Dobrze.

Gość rozejrzał się po lokalu, wyszukał stolik tuż przy oknie i nie zdejmując kapelusza, usiadł. Po chwili wyjął z kieszeni liche cygaro, przeciął je ostrym scyzorykiem na dwie połowy, jedną z nich starannie schował do metalowego pudełka, a drugą umocował w długiej, drewnianej cygarnicze i zapalił.

Gospodarz przyniósł szklanekę gorącej herbaty i starał się nawiązać rozmowę. Ale chudy człowiek był małomówny, jedynie monosylabami odpowiadał na uprzejme pytania.

Zniechęcony gospodarz odszedł wreszcie w głąb pokoi restauracyjnych. Gość siedział długą chwilę nieruchomo i bezmyślnie spoglądał przez brudną szybę okienną na słabnący ruch ulicy. Potem przysunął szklanę herbaty, mieszał łyżeczką jasno-brązowy płyn, ale do picia nie miał jakoś ochoty.

Po upływie kwadransa gospodarz chciał zapalić światło gazowe, — gość wstrzymał go ruchem ręki.

— Miły jest ten zachód słońca, niech pan jeszcze nie zapala światła. Szkoda gazu, — prosił.

Gospodarz odstawił krzesło, na które zamierzał wejść by zapalić lampę, i znikł za bufetem. Gość spojrzał na zegarek.

Nagle drzwi lokalu, pchnięte z siłą, otworzyły się szeroko. W drzwiach stanął olbrzymiego wzrostu człowiek w niebieskiej bluzie robotniczej i w czapce ze zniszczonym daszkiem. Na twarzy olbrzyma malowała się dobroć i zadowolenie z siebie.

— Dobry wieczór, — pozdrowił dźwięcznym, miłym głosem. Zamówił szklanę ciemnego piwa i już zamierzał usiąść przy jednym ze stolików, gdy zauważył gościa przy oknie.

— Aa, pan Mildner... — zawołał ze szczerą radością. — Skąd tak rzadki gość w lokalu „Pod Cichym Kątem“? Widocznie sprzykrzyło się do-

mino w restauracji Stilbera. Zawsze mówiłem, że tam marne piwo, a dla samego domina nie warto chodzić...

I bez żadnych skrpułów, olbrzym wpakował się do stołu przy oknie i kazał przynieść kamienie do gry.

Gospodarz przyniósł piwo i silnie zniszczoną drewnianą skrzyneczkę. Olbrzym rozsypał kamienie na kolorowym obrusie.

— Może teraz światło zapalić? — spytał uprzejmie gospodarz.

— Jeszcze za wcześnie — odpowiedział olbrzym.

Gdy gracze pozostali sami, człowiek w nasuniętym głęboko kapeluszu przysunął kilka kamieni do siebie i zgryźliwym cierpkim tonem zauważył:

— Glasgier, pan zawsze musi się spóźniać. Pół godziny musiałem czekać na pana...

— Ależ na czas przyszedłem... Za pół godziny dopiero będzie nasz ptaszek w klatce...

— Był pan w domu na Albrechtstraße?

— Byłem.

— I co?

— Dowiedziałem się, że w dniu morderstwa przyszedł dopiero o godzinie drugiej nad ranem. Przyszedł pijany, zgubił klucz i szturmował hałaśliwie do stróża.

— Pijany? — spytał niedowierzająco Blindow. — Chyba udawał.

— W każdym razie dozorca domu opowiadał, że ledwie szedł po schodach i zataczał się silnie. Zresztą nie był to wypadek odosobniony. Co drugi dzień przychodzi pijany. Wśród lokatorów kamienicy ma opinię straceńca. Podobno wykoleił się wskutek złego towarzystwa.

— Dziwne, że za dwieście marek miesięcznie może się codziennie upijać, — mruknął Blindow. — A do tej rudery przychodzi codziennie?

— Codziennie czasem sam, czasem w towarzystwie jakiejś przystojnej, młodej kobiety, a czasem z jakimiś kolegami z pod ciemnej gwiazdy. Niekiedy wpadnie jak po ogień, a czasem to śpi tam i dwadzieścia cztery godziny.

Glasgier zamilkł. Z drugiego pokoju usłyszeli kroki właściciela restauracji. Pochylili się szybko nad kamieniami domina.

— Panie Mildner, — rubasznie upominał olbrzym — mydło osiem, a nie siedem. Buchalter a nie umie liczyć...

Gdy wysoki pan szukał skwapliwie w kamieniach, — człowiek w bluzie robotniczej patrzył pilnie przez okno. Potem olbrzym kupował kamienie, a pan w głęboko wciśniętym kapeluszu, ślizgał się oczami po szybie.

Gospodarz stał chwilę, obserwując grę, udzielił kilka rad dobrodusznym tonem, wkońcu zaproponował gościom jeszcze po kufelku piwa i oddalił się za bufet.

— Właśnie dlatego wybrałem lokal „Pod Kątem,” — zaczął przyciszonym głosem Glasgier, — ponieważ stąd możemy znakomicie obserwować ten dom naprzeciw. Wykluczone, abyśmy mogli przeoczyć, gdy będzie wchodził w bramę...

— A badał pan rozkład mieszkania?

— Znam go na pamięć, — chętnie mówił olbrzym, wy dobył z kieszeni niebieskiej bluzy ćwiartkę papieru i ołówek i zaczął kreslić plan. Równocześnie tłumaczył:

— Okno wychodzi na podwórze, nawet bardzo niski człowiek może przez to okno zajrzeć do wnętrza pokoju. Wejście prowadzi wprost bramy. Przez drzwi wchodzi się do długiego ciemnego korytarza, potem na lewo jest wejście do jego pokoju. Do ściany korytarza przytyka ten oto sklep spożywczy, w którym właśnie zapuszczają żaluzje.

— Więc z pokoju jest tylko jedno wyjście?

— Tylko jedno i to przez drzwi. Oczywiście, ptaszek może próbować umknąć oknem na podwórze, ale to na wiele mu się nie przyda... Podwórze jest zamknięte. Przytykają do niego

wysokie ściany sąsiednich domów. Uważam zresztą, że jest na tyle sprytny, że nie próbowałby nawet ucieczki przez po....

Olbrzym urwał nagle w połowie słowa. Przysunął twarz blisko szyby, oczami starał się przebić coraz gęstszy mrok. Nieruchomo patrzył w jeden punkt. Człowiek w naciśniętym głęboko kapeluszu nachylił się do okna.

Chodnikiem szedł młody, barczysty człowiek w jasnym angielskim palcie i elastycznym krokiem wymijał każdą nierówność bruku.

— Idzie, — szepnął olbrzym, ściskając rękę swego towarzysza.

Młody człowiek doszedł do bramy, chwilę rozglądał się podejrzliwie wokoło. Obydwaj gracze w restauracji mogli dokładnie obserwować jego twarz w poświacie ulicznej latarni. Młody człowiek zastanawiał się chwilę, jakby obawiał się wejść w czarną czeluść bramy. Wreszcie zdecydowanym, szybkim krokiem przekroczył wysoki próg i znikł w ciemnym wnętrzu.

— Prędko pobiegnie pan teraz do najbliższego komisariatu policyjnego i na mój rozkaz przyprowadzi pan dwóch policjantów, — przyciszone głośnie rozkazał człowiek w głęboko nasuniętym na oczy kapeluszu. — Ja załatwię tymczasem rachunek i będę czekał tu, aż zo-

baczę pana z policjantami w bramie... Niech pan szybko biegnie, bo każda sekunda stanowi o powodzeniu...

Robotnik chwycił czapkę i wybiegł na ulicę.

Pan o wyglądzie buchaltera został sam. Spokojnie przywołał gospodarza i załatwił rachunek. Ale pozorny spokój i równowaga wkrótce zaczęły go opuszczać. Nerwy starego człowieka musiały być napięte do najwyższych granic, bo ani na chwilę nie spuszczał oczu z szyby okiennej, ręką ścisnął coś w kieszeni, po chudej twarzy przebiegały nerwowe drgawki. Nie trudno było odgadnąć, że siłą woli musi się opanowywać, aby nie wybiec na ulicę.

Nagle zauważył, że zewnątrz bramy zgaszono mały płomyk gazowy, a za chwilę ciężka brama zamknęła się z trzaskiem i ktoś przekręcił zamek kluczem.

— Tem lepiej, — mruknął chudy człowiek do siebie i nieco spokojniej patrzył już przez okno. Po chwili jednak nerwy zaczęły go znowu ponosić. Chwile oczekiwania dłużyły mu się strasznie. Każda minuta wydawała się wiecznością. Czuł nawet ból w gałkach ocznych z nieustannego patrzenia w ciemną bramę domu. Co chwila spoglądał na zegarek. Minęło dziesięć minut od chwili, gdy jego towarzyszy wybiegł z pod „Cichego Kąta“ i dotychczas nie dawał znaku życia.



— A może w komisarjacie jest tylko dyżurny i nie chce usłuchać rozkazu, a inni rozeszli się na posterunki? — gubił się chudy człowiek w domysłach.

Nagle w poświacie latarni ulicznej spostrzegł trzy cienie. Wyteżył wzrok i ujrzał trzy postaci ludzkie jakby przyklepione do muru. Po olbrzymiej sylwetce poznał niedawnego partnera gry w domino. Szybko wybiegł na ulicę. Zmęczone, ociążałe nogi odzyskały młodzieńczą prężność, zgarbione plecy wyprostowały się nagle, jakby spadł z nich wielki ciężar.

— No, mamy borsuka w jamie... — zaśmiał się cicho olbrzym, gdy chudy człowiek w palcie znalazł się już blisko bramy.

Na widok pana w naciśniętym głęboko kapeluszu, policjanci oddali służbowy ukłon.

— Poznajecie mnie, chłopcy? — zaśmiał się chudy mężczyzna.

— Ależ tak, pan radca Blindow — odpowiedzieli służbiście.

— No, to dobrze, a teraz uważajcie, bo niebezpiecznego i przebiegłego szakala mamy dostać w swoje ręce... Obawiam się, czy da się wziąć żywcem... Gotów się twardo bronić... Ale uwaga...

Blindow nacisnął guzik dzwonka. Nastąpiła chwila denerwującego oczekiwania. Minęło kilka

minut, ale stróż nie wychodził. Jeden z policjantów ponowił sygnał. Po długiej dopiero chwili usłyszeli głuchy stuk drewnianych trepów. Wreszcie klucz zgrzytnął w zamku.

Szybko weszli do nieoświetlonego wnętrza domu. Teraz Glasgier kierował obławą. Olbrzym pokazał stróżowi legitymację i wezwał go, by bezzwłocznie zamknął bramę i trzymał przy niej straż.

— Pan Blindow z jednym policjantem wejdzie na podwórze, — rozplanowywał Glasgier obławę. — Proszę pilnować pierwszego okna parterowego na prawo. Ja z drugim policjantem zaatakuję przez drzwi.

W świetle ślepej latarki wysunął się cicho Blindow z policjantem na podwórze. Obydwaj wyjęli rewolwery i odsunęli bezpieczniki. Szybko podsunęli się pod wskazane okno.

Z okna parterowego padał na ciemne podwórze snop białego światła. Radca policji przysunął się blisko szyby i spojrzał do wnętrza pokoju. Przez przezroczystą firankę zobaczył młodego człowieka, którego przed pół godziną obserwował przez okno restauracji. Młody człowiek siedział w palcie przy stole i pisał coś na arkuszu papieru. Na jego twarzy malowało się skupienie.

— Mamy szczęście, że sam jest w mieszkaniu, — pomyślał Blindow.

Wtem od strony bramy rozległo się głuche pukanie do drzwi. Młody człowiek podniósł głowę i niespokojnie wsłuchiwał się w odgłos stukania. Potem cicho wstał z krzesła i podszedł ku drzwiom, jakby nadśluchiwał. Pukanie powtórzyło się raz jeszcze, i to ze zdwojoną siłą. Młody człowiek wrócił do stołu, rozglądał się niezdecydowanie po pokoju. Pukanie powtórzyło się po raz trzeci, teraz jednak z taką już siłą i natarczywością, że zdawać się mogło, iż drzwi rozlecą się w kawałki. Młody człowiek spojrział w okno, i zobaczył czające się cienie. Zrozumiał widocznie, że obie drogi ma odcięte. W jego dużych czarnych oczach odmalował się strach. Nagle podniósł rękę do góry i błyskawicznym ruchem pociągnął za łańcuszek przy lampie gazowej. Ciemność wypełniła pokój. Tylko rozpalona siatka lampy żarzyła się kilka sekund, jak krwawa rana, a potem zgasła.

— Ani kroku od okna, — szepnął, rozkazując Blindow.

Wśród bezwzględnej ciszy usłyszeli lekkie dotykane szyby, jakby ktoś przesuwiał po niej wilgotnymi palcami, potem usłyszeli lekki stuk w ramę okienną. Blindow i policjant podnieśli w górę rewolwery, gotowi każdej chwili do wystrzału. Ciche szmery zamilkły jednak. Za-

panowała taka cisza, że Blindow słyszał wyraźnie uderzanie swego zegarka w kieszeni.

Od strony bramy Glasgow napierał znów na drzwi. Widocznie agent uderzał w nie pięścią, bo odgłos rozlegał się po całym domu. Wreszcie rozległ się ostry trzask, to Glasgow wyważył drzwi. Po chwili Blindow usłyszał kroki agenta i policjanta, wchodzących do osaczonego pokoju.

— Nie wolno oddalać się od okna, — szepnął Blindow do policjanta.

Nerwowe napięcie było tak silne, że stary radca policji czuł, że nogi jego drżą jakby z osłabienia.

Upływały sekundy, długie jak wieczność. Wreszcie przez szybę zobaczył Blindow dwie okrągłe kule świetlne ślepych latarek elektrycznych. Światła wydłużały się wolno, ich długie języki krzyżowały się, dotykały ścian i przedmiotów, przeskakiwały szybko z miejsca na miejsce.

— Glasgow jest w pokoju... — szepnął cicho policjant do starego detektywa.

Tymczasem latarki elektryczne penetrowały ciągle pokój. Wreszcie błysła potarta zapalka. Za chwilę lampa gazowa wypełniła znów białym światłem pokój.

Wewnątrz z wyciągniętymi rewolwerami stali Glasgow i policjant jacyś bezradni i nerwowo

rozglądali się wkoło. Wreszcie agent policji zbliżył się do okna i dał znak Blindowowi, aby wszedł do mieszkania.

— I co? — spytał radca policji, wchodząc do mieszkania.

— Ano nic, niema nikogo... — powiedział Glasier z mocno zakłopotaną miną.

Blindow wpadł w wściekłość. W jego stalowych oczach migotały złe błyski.

— Więc dał się pan wziąć na kawał jak głupiec? — rzucił z tłumioną pasją.

— Ależ panie radco, — usprawiedliwiał się olbrzym — przekonany jestem, że tylko oknem albo drzwiami mógł uciec...

— Więc mnie, albo panu uciekł z przed nosa... irytował się Blindow. — Może będzie pan wmawiał we mnie, że rozplynął się jak mgła w powietrzu? Gotów pan utwierdzać we mnie wiarę w cuda...

Olbrzym zdjął czapkę, drapał się bezradnie po głowie.

Silnie zafrasowana mina olbrzyma uśmierzyła nieco pasję starego radcy. Bacznie zaczął się rozglądać po pokoju.

Jedynem umeblowaniem tego zakurzonego i brudnego pokoju, był mocno zniszczony stół, krzesło i żelazne łóżko z brudną pościelą. W kącie na kulawym zydlu stała wyszczerbiona miska, — używana prawdopodobnie jako mie-

dnica. Cały zastęp próżnych flaszek z wódki i tanich likierów zalegał kąt pokoju. Nagle między flaszkami spostrzegł Blindow kulę zmiętego papieru. Detektyw podniósł ją szybko z ziemi i rozprostował papier. Był to świeżym atramentem pisany list. Mokry atrament rozmazał się czarnymi plamami po papierze. Blindow schował list do kieszeni i bacznie oglądał sprzęty pokoju. Bezzwłocznie uwagę starego pochłonęła odsunięta nieco szuflada stołu. Gwałtownym ruchem uchylił ją i spojrział do wnętrza. Wypełniona była po brzegi papierami, na których starannie kopjowano jakieś listy, podpisy i charakter pisma. Między papierami ukryte były długie laski gumy i kauczuku z nieudolnie powycinanymi nożykiem pieczętkami. Na samym spodzie szuflady ukryte były dwa pistolety mauzerowskie.

— Proszę szufladę wypróżnić i jej zawartość spakować! — rozkazał Blindow krótko. Poczem zwrócił się do Glasgiera:

— Teraz musimy przekonać się, którądy ten drab zbiegł.

Weszli do pustego małego przedpokoju i oświetlili ściany latarkami, ale w przedpokoju nie było ani drzwi, ani żadnego otworu. Blindow skierował latarkę na brudną podłogę i ostukiwał ją obcasem. Wystuk był normalny.

Nagle Glasgier, który oświetlał dalej ścianę, zauważył:

— Ten lotr musiał często przebierać się w robotnicze ubrania, nagromadził tu sporo ubrań płóciennych...

Rzeczywiście, na ścianie porozwieszane były na gwoździach brudne ubrania płócienne, jakich używają robotnicy przy pracy. Zaledwie jednak Glasgier zdjął kilka ubrań ze ściany, wydał okrzyk zdumienia:

— Ach, więc są zamaskowane drzwi!

Glasgier wskazał miejsce: na pstrych tapetach odbijał się ciemniejszy kwadrat. Wąskie szczeliny wskazywały wyraźnie, że są to maskowane drzwi tapetowe.

Agent przyłożył ucho do ściany i pilnie nadśluchiwał.

— Dokąd te drzwi prowadzą? — spytał przyciszonym głosem Blindow.

Glasgier przyłożył palec do ust na znak milczenia. Radca policji pochylił się również i wsłuchiwał się w odgłosy za ścianą. Do jego uszu doleciał jakiś głos niewieści, który dawał wskazówki. Tymczasem Glasgier odkrył w drzwiach tapetowych otwór zamka. Szybko wyjął z kieszeni angielski wytrych i umocował go w otworze. Długą chwilę zamek nie puszczał. Agent policji nakręcał nerwowo wytrych, aż wreszcie rozległ się zgrzyt sprężyny. Otworzyli drzwi

i oświetlili mały ciemny korytarz. Ostrożnie weszli do wnętrza, trzymając wyciągnięte rewolwery.

W korytarzu nie było nikogo.

— Dokąd ten korytarz prowadzi? — spytał znów cicho Blindow, niemal nachylając usta do ucha agenta.

Glasgier wzruszył ramionami na znak, że nie orientuje się.

Korytarzyk kończył się drzwiami obitemi słomą. Obaj nachylili się i z zapartym oddechem wsłuchiwali się w odgłosy z za ściany. Głos kobiecy był teraz wyraźniejszy, słów jednak nie było podobna uchwycić.

Agent uchylił lekko i ostrożnie drzwi. Przez szczelinę uderzyło na nich ciepło i miły zapach świeżego pieczywa.

— To sklep, w którym niedawno zamykano żaluzje, — szepnął Glasgier i spojrział do wnętrza lokalu.

Była to duża, ponura sala z ceglana podłoga. Zniszczona siatka gazowa lichy oświetlała przestrzeń. Wzdłuż ścian ustawione były duże kosze na pieczywo i wory z mąką i kaszą. Na środku mrocznej sali harcowały młode koty. Z za lady sklepowej dochodził do ich uszu gwar przyciszonej rozmowy i miarowy stuk jakiegoś przedmiotu. Glasgier jeszcze głębiej wychylił głowę przez drzwi. Teraz wyraźnie zobaczył twarze rozmawiających.



Przy stole, na którym zatknięta była parafinowa świeca, siedziały trzy osoby: młoda, czarno ubrana kobieta, obok niej zaś mężczyzna o zmęczonej i wynędzniałej twarzy, w końcu stołu siedziała stara, pretensjonalnie ubrana kobieta, prawdopodobnie właścicielka sklepu. Wszyscy troje nachyleni byli nad powierzchnią stołu i przypatrywali się czemuś z wielkim zainteresowaniem. Od czasu do czasu ktoś z siedzących rzucił jakieś oderwane słowo, a potem następowało lekkie uderzenie twardego przedmiotu o stół.

Długą chwilę obserwował Blindow i Glasgiersiedzących. Wreszcie cicho na palcach wsunęli się do wnętrza sklepu. Możliwe, że trójka skupiona nad stołem, albo rzeczywiście nie słyszała ich wejścia do sklepu, albo celowo udawała, że ich nie widzi.

Blindow i Glasgier zbliżyli się wreszcie na kilka kroków do stołu.

— Ręce do góry! — krzyknął nagle agent.

Wszyscy troje poderwali się równocześnie jak na komendę. Słabo umocowana świeca upadła na ziemię i zgasła. Ale wejście detektywów jakoś zbyt nie przeraziło obecnych. Na płaskiej twarzy mężczyzny malowała się zupełna obojętność, młoda dziewczyna zaś patrzyła ironicznie w twarz radcy policji. Tylko stara właścicielka sklepu przybrała komedjancką

pozę, chwyciła rękami utlenione włosy i powtarzała sztucznym, płaczącym głosem:

— Bandyci, obrabują nas biednych ludzi!...

Blindow uważnie śledził twarze tej trójki. Ani chwili nie wątpił, że odgrywają komedję. Spytał wreszcie spokojnie:

— Gdzie zbiegł człowiek, który mieszka w pokoju obok sklepu?

— Nic nie wiemy o żadnym człowieku...

— odburknął niechętnie mężczyzna. — Prosimy równocześnie, aby panowie wytłumaczyli kim są, w przeciwnym bowiem razie będziemy musieli inaczej rozmawiać...

Młoda dziewczyna uśmiechnęła się ironicznie.

— Ten starszy pan to radca policji Blindow, a to pewnie jego pomocnik... — przedstawiła z ironją obu detektywów.

Radca policji spojrział bacznie na zuchwałą dziewczynę. Nie mógł przypomnieć sobie, gdzie widział już tę piękną, bladą twarz, te duże, mocno podkreślone oczy i mięsiste wykarmionowane usta. Długą chwilę nie mógł stary detektyw odtworzyć w swojej pamięci, gdzie zetknął się z nią. Nagle przypomniał sobie wschód jesiennego słońca na Grunewaldzie, gdy wychodził zmęczony śledztwem z willi barona Teitelberga: wyminęła go wtedy na ulicy, prowokując oczami. Zauważył wtedy u niej fartuszek pokojowej...

— A panienska co tu robi? — spytał Blindow surowo.

— Przyszłam w odwiedziny do swojej ciotki, pani Tillemann, właścicielki tego sklepu, — odpowiedziała dziewczyna, nie tracąc swej ironicznej miny. — A nie rozumiem, dlaczego panowie niepokoją nas i zadają takie dziwne pytania?

— Proszę zaprzestać żartów! — przerwał szorstko Blindow. — Pytam gdzie zbiegł człowiek, który mieszkał obok?

— Ten pan już wytłumaczył, że nie wiemy, — mówiła z kamiennym spokojem. — Od godziny siedzimy tu zajęci grą w domino. Z okna widzieliśmy pana radcę grającego w restauracji „Pod Cichym Kątem,“ nie więc dziwnego, że i nas wzięła ochota...

— Proszę zaprzestać żartów! — krzyknął doprowadzony do pasji Blindow, a w oczach jego grały błyski gniewu.

— Bo co, panie radco? — spytała pogardliwie, wydymając usta.

— Bo znajdzie się pani za kratą... — syknął tłumiąc gniew.

— Uważam, że pani baronowa Teitelberg rychło wydobyłaby mnie stamtąd...

Blindow tłumił pasję, twarz jego zbladła, a ręce zwinęły się kurczowo w kulak, jakby chciał zgnieść cyniczną dziewczynę.

— Kto wynajmuje ten pokój za ścianą? — spytał z pozornym spokojem.

— Pan Hugo Hauner — odpowiedziała właścicielka sklepu.

— Czy sekretarz zmarłego barona Teitelberga?

— Nie wiem, prawdopodobnie...

— Jak dawno tu mieszka?

— Od kilku miesięcy.

— Dlaczego wynajęła mu pani mieszkanie? — badał Blindow dalej.

— Całkiem proste. Moja siostrzenica, która jest pokojówką pani baronowej, dowiedziała się, że pan Hauner poszukuje pokoju i skierowała go do mnie, wiedząc, iż poszukuję uczciwego sublokatora.

— Czy pan Hauner wychodził teraz przez sklep na ulicę?

— Pana Haunera widziałam dwa razy w życiu: raz gdy wynajmował mieszkanie, drugi raz gdy płacił czynsz. Bardzo porządny i punktualny lokator...

Blindow zagryzł wargi. Wiedział, że ta stara kobieta kłamie. Wpatrywał się w jej małe, chytne oczy, jakby chciał wyczytać w nich, jak dalece rozmija się z prawdą.

— A kto jest ten pan? — spytał, wskazując na mężczyznę o tępym wyrazie twarzy.

Nieznamy uprzedził właścicielkę sklepu i przybierając obleśny wyraz, przedstawił się z przesadną uprzejmością:

— Jestem ślusarzem miejskiej remizy tramwajowej. Nazywam się Walter Kerz. Oto moja legitymacja robotnicza... Wszystko, panie radco, w porządeczku...

Blindow przejrzał legitymację i oddał ją robotnikowi. Nastąpiła chwila ciszy. Radca policji czuł, że przegrał partję. Zdawał sobie jasno sprawę z tego, że porażkę zawdzięcza Glasgierowi, który źle przygotował teren. Gdyby agent zbadał należycie rozkład mieszkania, byłby Hauner już w rękach policji. Teraz niestety zapóźno... Należało się jednak z honorem wycofać... I dlatego Blindow napozór obojętnie poprosił właścicielkę sklepu:

— Proszę otworzyć żaluzję i wypuścić nas przez sklep.

Monter skwapliwie spełnił prośbę. W śmiesznych lansadach podskoczył ku drzwiom i podniósł żaluzję. Obie kobiety śmiały się ironicznie.

Gdy wyszli na ulicę, radca przystanął, i długo patrzył w oczy swego podwładnego.

— I co pan sądzi o wszystkim?

— Łotry! — mruknął olbrzym.

— Tak łotry, — ale pan niedołęga...

Glaszner opuścił oczy, jak winowajca. Obawiał się gorzkich wymówek przełożonego. Ale Blindow poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

— Nie martw się pan zbyt, jeszcze nie raz w życiu pan spudłuje... To się zdarza... Ale teraz lis opuści dwie jamy i wyszuka sobie trzecią. Ani tu, ani na Albrecht-Straße niema już poco chodzić. Ani tu, ani tam już go nie znajdziemy. Pana jednak rzeczą będzie wyszukać tę trzecią kryjówkę.

— Znajdę ją z pewnością, — powiedział agent z głębokim przekonaniem.

— Wierzę w to, że pan znajdzie. Ale niech pan pamięta, że nie wystarczy znaleźć kryjówkę, aby w nią wleźć, trzeba znać również wszystkie jej kręte korytarze... Inaczej skompromitujemy się tak jak dzisiaj. Ale niech pan nie sądzi, że dziś przegraliśmy całą bitwę. Dzisiejsza wyprawa też się nam opłaciła...

— W jaki sposób, panie radco?

— Opłaciła się. W kieszeni mam ważny klucz do rozwiązania zagadki. Znalazłem go na ziemi.

— Ach, ten list?

— Tak, przyjacielu. Ten list... No, a teraz niech pan zapuka do bramy, wejdzie do opustoszałej lisiej nory i przypilnuje, aby policjanci zabrali wszystkie papiery, które pan Hugo Hauner tak skwapliwie magazynował. Każdy

strzep papieru przyda się nam. Ja idę już do domu. Stary człowiek musi być wcześniej w łóżku. Dobranoc Glasgier!

Agent uściskał skwapliwie dłoń swego przełożonego i zastukał do bramy.

Stary detektyw szedł rażno naprzód. W przystępie dobrego humoru zaczął nawet wygwizdywać pod nosem jakąś kabaretową piosenkę, od dwudziestu lat przynajmniej niemodną.

— Będą za kratą na Moabicie!... Będą! — powtarzał z uporem. — Nawet i ładna dzierlatka... Szkoda tylko, że taka ładna.

Na moście zatrzymał Blindow wolne taxi. Usadowił się szybko w samochodzie i odjechał do domu.

\*

\*

\*

V.

W DOMU ZAŁOBY.

Lęk i przygnębienie czaiły się w każdym kącie willi barona Teitelberga na Grunewaldzie. Od dwóch dni nikt nie ośmielił się w tragicznym domu przemówić inaczej jak szeptem. W olbrzymim hallu, obitym czarnym kirem, stał kilkustopniowy katafalk, przy którym dzień i noc paliło się kilkadziesiąt świec woskowych. Zapach rozgrzanych cyprysów, chryzantem i topiącego się wosku, rozchodził się po całym domu, dusił i dławił. Na szczycie katafalku, w oksydowanej trumnie leżał niedawny potentat finansowy. Onegdaj jeszcze drżało przed nim tysiące robotników i urzędników, setki drobnych przemysłowców i kupców, których jednym pociągnięciem, nawet słowem mógł zdusić i zniszczyć. Opuchłą, wykrzywioną twarz Geheimrata przysłaniał teraz czarny welon, aby nie przerażała żyjących. W splecionych, nabrzmiałych palcach trzymał Geheimrat Teitelberg mały srebrny krzyżyk.



Bano go się za życia, — po śmierci prze-  
rażał....

Mimo, iż miękkie dywany tłumily odgłos  
kroków, przechodzone na palcach obok kata-  
falku. Bano się zakłócić ser temu silnemu,  
bezwzględnemu człowiekowi. Choć leżał bez-  
władny, a jeszcze teroryzował i nagiął wolę  
swego otoczenia....

O kilka pokoi od strasznych zwłok odpoczy-  
wała w swoim buduarze baronowa Teitelberg.  
Z pod abażuru dużej ampli padał snop światła  
na jej piękną, zmęczoną twarz. Czarna suknia  
zdawała się wyszczuplać jeszcze jej smukłą  
postać. Siedziała w fotelu z przechyloną ze  
zmęczenia wtył głową. W dużych oczach ma-  
lował się lęk i znużenie. Przez dwa dni prze-  
wijały się setki osób przez te pokoje, a każdy  
czuł się w obowiązku wyrazić wdowie kilka słów  
współczucia. Musiała ścisnąć ręce przyjaciół,  
znajomych, delegatów, a nawet obcych zu-  
pełnie ludzi, którzy przyszli pocieszać ją kilku  
banalnemi, a mozolnie obmyślonemi słowami.  
Baronowa Teitelberg wiedziała doskonale, że  
ani jedna łza nie wsiąkła w puszysty dywan  
obok katafalku.

Nawet jej łez tam nie było...

Ale przede wszystkim lęk... Ona bała się  
tego czarnego, dusznego hallu...

Zaraz po morderstwie, jeszcze o świcie, Erika wyjechała z Berlina do znajomych na wieś, ani godziny dłużej nie chciała zostać w tej willi. Prosiła tylko, by ją telegraficznie uwiadomić o dniu i godzinie pogrzebu.

Baronowa Teitelberg została sama. Jedyńm jej przyjacielem teraz był olbrzymi chart syberyjski, który tak samo jak ona bał się tej oksydowanej trumny i tego białego lasu płonących świec.

Noce spędzała baronowa bezsennie. Najmniejszy szmer w willi napawał ją lękiem. „Colly“ jeżył sierść i chował swój wspaniały łeb w fałdy jej szlafroka. W czasie takiej bezsennej nocy zdawało się jej, że ona i pies słyszą równocześnie jak z olbrzymiego katafalku wstaje Geheimrat, opuchłymi rękami rozsuwa las cyprysów i świec i idzie wolno na górę do swego zacisznego gabinetu, aby tam wykuwać jakieś straszliwe plany. A czasem bała się, że ten olbrzym o potwornie zniekształconej głowie przyjdzie lada chwila do niej, do jej sypialni i swoim chrypliwym głosem zacznie upominać się o jakieś urojone krzywdy. O, — słyszała nawet skrzyp podłogi tuż za progiem buduaru...

Świt zastawał zawsze baronową z otwartymi oczyma.

A w dzień rozpoczynał się korowód współczujących, rozmowy z notarjuszem i kierownikami fabryk o interesach, których nie rozumiała i które przerażały ją swym ogromem.

Tak trwało już dwa dni i dwie noce długie...

Baronowa Teitelberg rozumiała, że gdy takie napięcie nerwowe potrwa jeszcze dłużej, to znajdzie się za murami jakiegoś sanatorium dla nerwowo chorych, a może i domu obłąkanych.

Ale jeszcze jedna tylko noc i jeden, niecały nawet dzień dzieli ją od chwili wyniesienia tych strasznych zwłok. Potem rozsuna te gęste rzędy świec i drzew żałobnych i zamkna raz na zawsze tę trumnę... A potem...

Przed oczyma baronowej przesunął się obraz tłumnego konduktu pogrzebowego, potem w wspólniejszej kaplicy berlińskiego krematorium mowa pastora...

I zdawało się jej, że na dworze nagle zabłysło słońce, że lekki wiatr kołysze zielone czuby drzew, a w powietrzu taki spokój i cisza, że słyhać tętno własnego serca.

Odpoczynek.

Z ust baronowej znikł grymas bólu. Przez twarz jej przebiegł promyk szczęścia. Ale trwało to tylko sekundę. Wróciła natychmiast myślą do rzeczywistości i równocześnie jakby

powiew z hallu przesycony zapachem topionego wosku i rozgrzanych kwiatów wtargnął do jej płuc.

Wzdrygnęła się, czując przyływ zimna. Szybko odwróciła głowę ku drzwiom. W progu pokoju stał Johann.

— Książę Dymitr Strogow! — zameldował dyskretnie.

Na dźwięk tego nazwiska baronowa Teitelberg drgnęła.

— Prosić, — powiedziała cicho.

Gdy służący zamknął drzwi, postąpiła kilka kroków naprzód, jakby chciała biec naprzeciw drogiego gościa. Zatrzymała się jednak w pół drogi. Spojrzała w lustro. Szybkim ruchem rąk poprawiła krótkie, starannie ondulowane włosy. Rzuciła wzrokiem na całą swą postać. Suknia z czarnego, lśniącego jedwabiu obcisłała zrecznie jej zgrabną postać.

Wszedł książę Dymitr Strogow i złożył przed nią głęboki, poważny ukłon. Chwilę patrzyli na siebie, jakby chcieli oczami odgadnąć nastroj swych dusz. Wreszcie Strogow szybkim krokiem zbliżył się do niej i przycisnął jej wąską rękę do ust. Długo nie mógł oderwać ust od jej ciepłej, białej dłoni.

— Biedna, biedna Luizo, — szepnął.

Padła bezsilnie w głęboki fotel, z nadmiaru wzruszenia, on ukląkł u jej nóg i pokrywał pocałunkami obie jej ręce.

— Dymitr, — szeptała z wyrzutem, — tak długo ciebie tu nie było, a ja tak strasznie cierpiałam, — i w jej dużych oczach błysły łzy. Nachyliła się nad klęczącym i spazmatyczny płacz wydobył się z krtani. Długo wstrząsał jej całym ciałem.

Strogow położył rękę na głowie nieszczęśliwej kobiety, jakby chciał, aby w ten sposób spłynęło na nią ukojenie.

— Płacz, Luizo, płacz, — szepnął, — łzy przyniosą ci ulgę.

Płakała. Tłumiony przez tyle dni i nocy ból i lęk rozpraszał się teraz. W jej duszy i sercu coś się burzyło, kruszyło, łamało. Łzy przynosiły spokój. Nie starała się nawet ich powstrzymywać.

— Ach, ile przecierpiałam przez te dwa dni, to chyba Bóg jeden wie... — żaliła się, tłumiąc szloch. — Ach, jak bardzo pragnęłam płakać, niestety nie mogłam... Suchemi oczami patrzyłam na te straszne zwłoki w jego gabinecie, przykryte gobelinem... Suche miałam oczy, gdy ustawiano katafalk i zapalono świece... Ale najgorsze chyba to ten łańcuch ludzki, jakby bez końca i końca... Przychodzili ludzie, którzy go nigdy nie kochali, a może i nie szanowali. Słuchałam ich konwencjonalnych obłudnych słów współczucia i byłam sama, zupełnie sama... Erika wyjechała zaraz twier-

dząc, że więcej pod ten dach nie wróci... Nawet tak przywiązana dziewczyna jak Lotti błagała, abym ją zwolniła, bo boi się tego dusznego hallu i tej oksydowanej trumny. Noce spędza gdzieś u ciotki na przedmieściu. Zostałam ja, Johann i „Colly.“ Poczciwiec tuli do mnie miękki, ciepły łeb, patrzy wiernie w moje oczy i liże mi ręce. On jeden mi współczuł, ale i on wraz ze mną bał się nocy... Leżał w nocy obok mego łóżka i jeżył sierść za lada szmerem. A tu w tej willi coś się dzieje... Coś, czego ja w żaden sposób odgadnąć nie mogę. W obłądnym strachu tłumaczę sobie, że to „on“ wstaje ze śmiertelnej pościeli, wchodzi po schodach do swego gabinetu i tam zamknięty pracuje do świtu...

Baronowa Teitelberg patrzyła rozszerzonymi z przerażenia oczami w mroczny kąt pokoju, jakby stała tam jakaś upiorna wizja. Drżała na całym ciele.

Księżę Strogow tulił do twarzy jej zimne ręce.

— Tak błagałam Boga, abyś wrócił z Paryża... — mówiła szlochając.

— Luizoo, gdybym wiedział co się tu dzieje... — usprawiedliwiał się cicho. — Siedziałem nad Sekwaną, zajęty porządkowaniem swoich interesów i losami moich nieszczęśliwych rodaków Rosjan. Pochłonięty byłem tak pracą, że godziny mojego wypoczynku były doprawdy

nieliczne. Onegdaj szedłem na obiad do Duvala, a chłopcy na Avenue de la Bourse sprzedawali „Paris Midi.“ Kupiłem gazetę i wszedłem do gabinetu restauracyjnego. Gdy przeczytałem wiadomość o tragicznej śmierci twego męża, bezzwłocznie wsiadłem w taxi i pojechałem do notariusza. Zaklinałem go na wszystko w świecie, aby przyspieszył kontrakt, bo muszę bezzwłocznie wracać do Berlina. Obiecał uczynić wszystko możliwe... Niestety, dopiero następnego dnia mogłem opuścić Paryż. Myślałem tylko o tobie... Wyczuwałem, jak strasznie cierpisz. Chciałem być blisko ciebie, — rozumiałem, że będę ci potrzebny... Dziś, wprost z dworca, pędziłem do swego mieszkania, a stamtąd tu do ciebie na Grunewald...

Przytuliła się do niego z wdzięcznością. Milczała, a oczy jej z miłością ślizgały się po jego bladej, szlachetnej twarzy, po pięknie wykrojonych ustach i długo zatrzymały się na siwych źrenicach kochanka, jakby wypowiadała mu nieskończoną miłość i przywiązanie.

Opasał ją muskularnym ramieniem i położył głowę na jej kolanach. Ona gładziła palcami jego włosy. Trwali chwilę w głębokim zamysleniu.

— Tak dobrze tu blisko ciebie... — szepnął. Drgnęła. Ręce jej zaczęły niespokojnie błądzić po jego włosach.

— Nie, tu nie dobrze, — mówiła z trwogą w głosie. — W tych murach, w tych kątach, nawet w meblach, czai się jakieś nieszczęście... I on stał się takim dopiero tu... Przedtem był inny. Pamiętam, gdy pracował w Dortmundzie, gdy dorabiał się majątku, nie miał nic droższego nad dom, mnie i małą Erikę... O, wtedy byłam nawet szczęśliwa... Każdą swoją troską, czy powodzeniem dzielił się ze mną. Był wtedy moim, a ja jego przyjaciелеm... Dobrze nam było tam... Niestety trwało tak krótko... W miarę jak jego majątek i wpływy rosły, zmieniał się nie do poznania, nie taił przed nami, że krepujemy jego ruchy. Erikę wysłał do pensjonatu w Anglii. Ja zostałam przy nim i patrzyłam z niepokojem, jak w nim zaczyna się rozwijać coraz większa drapieżność. Gdy nie potrzebował już starać się o powiększenie majątku, bo kapitał sam na siebie pracował, wtedy zaczął niszczyć swoich konkurentów. O, żebyś wiedział, ile lez i ile przekleństw padło na jego głowę... Nie miałam wtedy na niego już żadnego wpływu. Żył własnem życiem. Moje słowa perswazji, prośby i zaklęcia odbijały się jak od pancerza od jego kpin i uporu. Ostatnio pochłonięty był zupełnie procesami z rządem polskim o jakieś fabryki chemiczne, które miał na terenie Polski. W tej sprawie jeździł do Hagi, do Genewy, do War-



szawy. Całą energję i potęgę swoich wpływów zużywał na wydarcie tych fabryk. Sprawy jego jednak musiały być bardzo wątpliwe, bo wynik tych procesów nie był dla niego pomyślny. To go jęczyło i doprowadzało do szaleństwa. Polaków tak nienawidził, że słowa „Polak“ nie wolno było ani w biurze, ani w domu wypowiedzieć. Całe rzesze polskich robotników wydalil z fabryk w Nadrenji. Wiem, iż uczciwi i rozsądni prawnicy starali się odwieść go od szaleńczych procesów, — nie dowierzał im. Wreszcie i oni nie chcąc narażać się jemu, przestali się wtrącać w tę sprawę. Ostatnie lata, tu w tym pałacyku na Grunewaldzie, żył już tylko nienawiścią. Nie znosił zadowolonych i szczęśliwych twarzy dookoła siebie...

— Luizo, może źle go oceniasz, — przerwał jej miękko. — Nie rozumiałaś go. On był Niemcem z krwi i kości, — ty Szwajcarką, wychowałaś się w innych warunkach i otoczeniu. W niego od dziecka wpajano, że on i jego naród powinien panować nad światem. Dlatego to, co jemu wydawało się naturalne, ty brałaś za drapieżność, czy szaleństwo. Obserwowałem go przecież, nie był inny jak całe jego otoczenie, — był tylko potężniejszy kapitałem i wpływami... A zresztą poco w tej chwili analizujesz duszę człowieka, który przed dwoma jeszcze dniami przestał istnieć i którego nie kochałaś...

— Och, nie mów, że przestał istnieć... — przerwała ze strasznym łękiem.— On jest, on jeszcze jest. Ja czuję, że wypełnia on jeszcze sobą wszystkie kąty tego domu... Nie domyślasz się nawet, że on wiedział, że go zdradzam... O, nie przecz temu. Tak było. Nie-raz, gdy widział na mojej twarzy uśmiech szczęścia, to badawczo patrzył mi w oczy... Wiem, że wszystko w nich czytał. Gdy bałam się jego spojrzenia i zasłoniłam rzesami oczy, wtedy śmiał się tak dziwnie, że strach mnie oblatywał. Czytał we mnie jak wotwartej księżce...

Księżę Strogow wstał z klęczek, chodził nerwowo po pokoju. Co chwila przesuwał ręką po czole, widocznie chciał odpędzić jakieś przykre myśli. Stanął wreszcie koło kominka i spokojnie patrzył w ogień. Czerwone refleksy padały na jego piękną twarz i grały w jego dużych, siwych źrenicach.

Baronowa milczała pogrążona w myślach. Strogow pierwszy ocknął się z zamyślenia.

— Źle zrobiłem, Luizo, że pierwszy nie powiedziałem mu o naszej miłości... Byłbym ciebie wcześniej wyrwał z jego rąk... Byłbym ci oszczędził tych tortur psychicznych jakie musiałś w tym domu przechodzić... Niestety, nie mogłem tego zrobić, ponad ciebie, ponad moją miłość było jednak coś większego i silniejszego...

— Kobieta? — spytała z niepokojem.

— Ach nie, nie kobieta.

— I nie bałbyś się wyznać mu wszystkiego?

— Nie.

— A widziałeś go w hallu wśród kwiatów i świec? — spytała z lękiem.

— Widziałem.

— I nie zadrżałeś?

— Nie. Przeciwnie, patrzyłem w czarny welon jego na twarzy, bo chciałem spojrzeć mu w oczy.

Z przerażenia zasłoniła twarz rękami.

— Nie bój się, Luizy, ja nie patrzyłem w te szklane, krwią nabiegłe oczy z nienawiścią, nie miałem powodu do tego. Ja dziękowałem mu za to, że ani atomu twojej miłości i przywiązania nie zatrzymał dla siebie i nie zabiera do grobu... Czy mogłem mu złożyć?

— Silny jesteś.

— Tak silny jestem, — powtórzył w zamysleniu, — ale silny nie nienawiścią jak on, silny jestem celem, któremu służę i miłością dla ciebie...

Patrzyła z wdzięcznością na swego kochanka.

— Teraz dobrze mi, — mówiła cicho. — Przy tobie zaczyna opuszczać mnie ten obłądny lęk.

— Potem, co mi przed chwilą powiedziałaś — mówił z powagą, — nie wierzę, by mogło ci być dobrze w tym domu. Wierzę teraz, że te

kąty, nawet meble są przeklęte. Ale przeklęte przez twój strach i zmaganie. I dlatego stąd wyjedziemy...

— Ależ nie mogę wyjechać...

— Wyjedziesz ze mną. I ja nie mam już celu siedzieć dłużej w Berlinie. Mam dość tego nieprzytulnego miasta, w którym wre i kipi nienawiść do całego świata. Nienawidzę Berlina. Dzień, w którym wyjadę stąd z tobą, uważać będę za najszczęśliwszy w życiu...

— Wyjeżdżasz do Paryża?

— Nie, do Warszawy. Tam mam jeszcze kilka ważnych spraw rodzinnych do załatwienia. Kilka miesięcy musimy spędzić w Polsce...

Nie odpowiedziała. Strogow patrzył dalej w kominek i snuł jakieś swoje plany. Na jego wysokiem czole zarysowała się głęboka bródka, silne łuki brwi schodziły się razem nad kształtnym nosem.

Na korytarzu usłyszeli nagle szybkie kroki. Baronowa Teitelberg drgnęła nerwowo.

— Ale masz zdezelowane nerwy, — powiedział Strogow z głęboką troską. — Drżysz nawet wtedy, gdy ktoś idzie przez korytarz.

Do buduaru baronowej wszedł Johann, trzymając dużą kartę wizytową na tacy. Podał ją swojej pani. Spojrzała na bilet i tłumiąc niechęć rzuciła cierpko:

— Ach, jeszcze i to trzeba przetrzymać...

Książę zbliżył się, przeczytał na karcie nazwisko: „Dr. Wilhelm Blindow — radca policji.“

— Proś tego pana, — polecił z niechęcią. — A może chcesz, abym się oddalił? — spytał, gdy służący wyszedł na korytarz.

— Ależ przeciwnie, zostań — prosiła. — Nie mam żadnych tajemnic przed tobą. Wolę nawet, abys był obecny.

— Zostanę. Ciekaw jestem, jak ten Blindow wygląda. Podobno ma być niezwykle zdolny detektyw...

Za chwilę wszedł do pokoju wysoki, chudy człowiek z olbrzymimi okularami na nosie. Obecność kogoś trzeciego stropiła go nieco. Ale książę podszedł do niego z uśmiechem.

— Pan radca wybaczy moją obecność, — usprawiedliwił się Strogow, — jestem jednak tyloletnim przyjacielem baronowej, iż nie ma przede mną tajemnic. Po tragicznym wypadku baronowa nie może odzyskać równowagi i czuje się lepiej duchowo w mojej obecności. Jeśli więc pan radca nie sprzeciwi się, pozostanę w pokoju. Może i ja przyczynię się do rozwiązania tragicznej zagadki...

Radca policji dotknął ręki księcia, następnie złożył głęboki ukłon baronowej. Usiedli w fotelach.

Blindow obserwował bacznie twarz Strogowa, a książkę z zainteresowaniem i jakby z szacunkiem patrzył w mądre oczy radcy policji.

— Właściwie ja powinienem przeprosić za tak spóźnioną wizytę, — usprawiedliwiał się Blindow, — ale rozumieją państwo, że muszę kuć żelazo dopóki gorące. Ponieważ natknąłem się na kilka wątpliwości, których sam nie jestem w stanie rozstrzygnąć, więc ośmielam się zwrócić o pomoc do pani baronowej. Chciałbym dowiedzieć się, jak w ostatnich czasach układały się stosunki między zamordowanym a jego sekretarzem p. Haunerem?

— Haunera mało znam, — mówiła spokojnie, ale jakby pod przymusem. — Widziałam go zaledwie kilkanaście razy. Jest to młody człowiek, podobno gorliwy sportowiec, zdobywca kilku poważnych nagród na konkursach. Mąż lubił go. Twierdził jednak, że jest lekkomyślny, żalił się, że nie przestrzega godzin urzędowych. Potem jakoś stosunek zaufania między zmarłym a sekretarzem zepsuł się, ponieważ Hauner miał być zbyt wścibski i interesował się sprawami, w które mąż postanowił nie wtajemniczać go...

— Czy Hauner długo był sekretarzem męża pani?

— O, tak. Od czasu, gdy mieszkamy na Grunewaldzie, a więc kilka lat.

— Czy nie zauważyła pani, aby stosunki między ś. p. mężem a sekretarzem w ostatnich dniach nawet się tak zaostrzyły, że mąż obawiał się Haunera?

— Boję się odpowiedzieć nieostrożnie na to pytanie, — mówiła, namyślając się, — wiem bowiem, że odpowiedź moja może mieć poważne konsekwencje. Przypominam sobie tylko, że raz mąż w czasie obiadu opowiadał córce, iż Haunera do pasji doprowadza, że został izolowany od niektórych interesów. Mój mąż wyraził się wtedy, że chętnie pozbyłby się sekretarza, gdyby nie pewne powody... Możliwe jednak, że był to chwilowy zły humor męża, w który usposobienie jego tak obfitowało... Bliżej sprawy wyjaśnić nie umiem...

— A może zna ją lepiej baronówna Teitelberg?

— Wątpię, mąż nie uważał za stosowne ani mnie, ani córki wtajemniczać w swoje sprawy. Czasem tylko w przystępie dobrego humoru skłonniejszy był do wynurzeń, które ograniczały się jednak do kilku słów...

— A jakie jest księcia zdanie o sekretarzu? — spytał nagle Blindow.

— Haunera znałem tylko z widzenia. Uważam go za człowieka niezdolnego do zbrodni, może do drobnych oszustw... To jest, oczywiście, mój prywatny sąd, którego żadnymi do-

wodami poprzec nie byłbym w stanie. Uważam więc, że moja opinja jest zupełnie nie miarodajną, — odpowiedział ze swobodą Strogow.

Blindow uśmiechnął się zagadkowo. Wyjął z kieszeni ćwiartkę papieru poplamioną atramentem.

— Czy przypadkiem nie zna pani baronowa tego charakteru pisma? — spytał nagle detektyw, podsuwając jej szybko jakiś papier przed oczy.

Spojrzała na ćwiartkę papieru i cofnęła się gwałtownie, jakby pod wpływem wielkiego wzruszenia.

— Nie znam tego pisma... — odpowiedziała dziwnie zmieszana.

— Stanowczo nie przypomina pani sobie, aby kiedykolwiek otrzymała list pisany podobnym charakterem? — pytał dalej Blindow, nie spuszczać oczu z jej twarzy.

Pod wpływem tego badawczego spojrzenia baronowa mieszała się coraz bardziej.

— Ależ nie, stanowczo nie przypominam sobie... — mówiła, opuszczając wzrok na dywan.

— To dziwne... — mruknął detektyw. — Ja myślałem, że pani opowie mi bardzo ciekawą historję ze swoich przeżyć w ostatnich dniach...

Baronowa Teitelberg nie odpowiedziała, palce jej nerwowo biegały po poręczu fotela. Strogow



patrzył na nią ze zdziwieniem. Zrozumiał natychmiast, że baronowa tai coś przed detektywem. Wyciągnął rękę po papier.

— Czy ja mógłbym to obejrzeć?

— Ależ owszem, książę, — odpowiedział Blindow skwapliwie i wręczył mu papier.

Strogow długo i badawczo przypatrywał się każdej literze pisma. Potem przeniósł oczy pełne zdziwienia na baronową.

Przez chwilę trwała kłopotliwa cisza. Przerwał ją radca policji.

— Jeśli list ten nie wyjaśnia ani trochę sytuacji, — mówił z wyraźną ironją, chowając papier do kieszeni, — to może pani baronowa zechce przynajmniej udzielić mi kilka uwag o swojej pokojówce...

— O Lotti? — spytała zdziwiona. — Ależ to bardzo dobra i uczciwa dziewczyna...

— Która wczoraj wieczorem omal nie znalazła się pod kluczem, — przerwał szorstko radca.

Baronowa Teitelberg patrzyła ze zdumieniem na detektywa.

— Tak, omal nie znalazła się pod kluczem, — powtórzył dobitnie. — Gdyby nie to, że jest mi jeszcze potrzebna i po jej śladzie spodziewam się dojść do siedliska zbrodni, — to już wczoraj mogłem spokojnie przewieźć ją na Moabit wraz z jej sympatycznym towarzystwem.

Baronowa stanęła żywo w obronie swej pokojówki:

— Pan radca doprawdy myli się... Od kilku lat służy u mnie i nigdy nie miałam najmniejszego powodu żalić się, ani ją strofować. Polecił ją mężowi jego brat Joe Teitelberg z Augsburga....

— Możliwe. Narazie jednak sądu swego o niej nie mogę zmienić, a teraz, jeśli już z tak skąpymi informacjami mam wyjść od pani baronowej, to może na ostatnie przynajmniej pytanie otrzymam bardziej uchwytną odpowiedź. Czy sekretarz Hauner po morderstwie był tu, w willi na Grunewaldzie?

— Był. O ile przypominam sobie onegdaj rano, to jest w kilka godzin po morderstwie, przyszedł jak zwykle do biura i przez służącego pytał mnie, czy nie dam mu żadnych zleceń. Johann opowiadał mi, że Hauner był tak przerażony wiadomością o morderstwie, że na długą chwilę zaniemówił, potem bełkotał jakieś niezrozumiałe słowa i za żadną cenę nie chciał wejść do gabinetu, w którym leżały zwłoki męża.

— A później nie zgłaszał się?

— Prawdopodobnie nie. Nie pytałam zresztą o niego. Zrozumie pan radca, że w tem nie-szczęściu najmniej interesowałam się osobą Haunera...

Blindow namyślał się chwilę nad czemś, potem spytał:

— A po tragicznej śmierci męża nie poczytała pani żadnych spostrzeżeń? Nie zauważyła pani jakichś zmian w usposobieniu otoczenia np. przerażenia, konsternacji, żalu?...

— Doprawdy trudno mi odpowiedzieć. Jeśli kto był najbardziej przerażony tragiczną śmiercią — to w pierwszym rzędzie ja. Córka pod wpływem strasznego ciosu wyjechała bezwzględnie, nie chcąc pozostać w tym domu. Zostałam sama. Jako kobieta, a więc nerwowo słaba, poddałam się zupełnie nieszczęściu. W dzień chodziłam jak automat, w nocy pracowałam moja rozgorączkowana wyobraźnia... Może to śmieszne, ale ustawicznie słyszałam w nocy jakieś szmery, kroki i ruchy. Świt, oczywiście, przywracał mi równowagę. W dzień zdawałam sobie sprawę z nocnej egzaltacji...

— Słyszała pani szmery? — spytał mocno zdziwiony Blindow. — I nie była pani ciekawa zbadać, skąd one pochodzą?

— Za żadną cenę nie byłabym ośmieliła się przekroczyć progu tego pokoju... — mówiła z szalonym lękiem w oczach.

— Tak, to zrozumiałe... — odpowiedział machinalnie Blindow i umilkł. Zdawało się, że myśli detektywa pracują usilnie nad rozwiąza-

niem jakiejś zagadki. Utkwił oczy nieruchomo w kącie pokoju, gdzie leżał rozciągnięty na dywanie wspaniały chart syberyjski.

— Czy pies spędzał również noce w pokoju pani? — spytał wreszcie.

— Tak.

— A jak się zachowywał?

— Był czasem niespokojny, jeżył sierść, podbiegał od czasu do czasu do drzwi i warczał groźnie. Wtedy tak szalony lęk mnie ogarniał, że zapalałam wszystkie lampy w pokoju...

— Jeżył sierść?... — powtórzył kilka razy detektyw, potem wstał dziwnie zdenerwowany z fotela i spytał: — Czy nie byłaby pani tak łaskawa zaprowadzić mnie do pokoju, gdzie mąż został zamordowany?

Baronowa spojrzała na niego z lękiem.

— Nie panie, za żadną cenę nie weszłabym tam. Ja widzę ciągle ten straszny gobelin, którym on był przykryty...

Ksiązę Strogow wstał z fotela.

— W takim razie ja wyręcę baronową, — powiedział uprzejmie i zadzwonił na służącego. Za chwilę wszedł Johann.

— Gdzie jest klucz od gabinetu pana barona? — spytał ksiązę.

— Noszę go ciągle w kieszeni, tak jak to pan baron jeszcze mi polecił...

— Doskonale, Johann, że nawet po śmierci spełniacie jego rozkazy, — przerwał z uznaniem detektyw. — A czy nie wpuszczaliście od chwili morderstwa nikogo do gabinetu?

— Nikogo, panie radco. Zresztą ktoby tam chciał wejść po tym strasznym wypadku.

— Właśnie my chcemy wejść, — spokojnie powiedział książę.

Służący skłonił się służbiście, ale w jego oczach można było wyczytać, że wolałby tam nie wchodzić.

Blindow pierwszy wyszedł na korytarz, za nim podążył książę i Johann. Przeszli przez hall obok katafalku i szybko skierowali się na schody. Stanęli wreszcie przed drzwiami gabinetu, w którym dwa dni temu rozegrała się krwawa tragedia.

Johann drżącymi rękami długo szukał klucza w kieszeni. Na twarzy służącego malował się coraz większy lęk. Wreszcie wyjął płaski skomplikowany klucz od zatrzasku, ale ręce tak mu drżały z przerażenia, że nie mógł trafić w otwór zamku.

— Wstydz się Johann, — upomniał go Blindow. — Czego się tak lękasz?...

— Panie radco, — usprawiedliwiał się służący. — We wsi, skąd pochodzę, opowiadają, że dusza zamordowanego krąży koło tego miejsca, gdzie zginął...

— Czy oszalałeś? — burknął radca. — Jak możesz wierzyć w takie brednie?

— Kiedy wierzę, — powiedział z naiwną szczerością Johann, — i jak nie mam wierzyć, skoro po nocach słyszę, jak w tym pokoju ciągle coś się tłucze, kołacze jakby sam baron za życia...

Stogow położył rękę na ramieniu wystraszonego Johanna.

— No, otwieraj przedzej, — rozkazał spokojnie. — Zaraz przekonasz się, że nic tam nie kołacze...

Johann nacisnął zatrzask do ciemnego pokoju. Książę przekręcił taster. Światło pająka elektrycznego wypełniło pokój. Wszystkie meble, każdy najdrobniejszy przedmiot stał na tem samym miejscu, na którym znajdował się w chwili tragicznej śmierci barona Teitelberga. Nawet ogarek cygara, który zdusił Kanner w chwili morderstwa, leżał na olbrzymiej bronzowej popielnicy.

Johann rozglądał się trwożliwie po pokoju. Ład i porządek, jaki tu panował, zaczęły go jednak uspakajać.

Książę i Blindow przeszli do drugiego pokoju.

Zaledwie zapalili światło z ust detektywa i księcia wyrwał się okrzyk zdumienia.

Na ziemi leżał trup młodego człowieka, zwrócony twarzą do dywana. Wokoło głowy utwo-

rzyła się kałuża gęstej zakrzepłej krwi, która ciągle spływała jeszcze z szyi zamordowanego. Obok głowy zabitego leżała czapka sportowa cała przesiąknięta krwią i mały pistolet re-petjerowy. Zamordowany trzymał w ręce duży plik stumarkówek. Johann patrzył zdumiony na zwłoki i nagle krzyknął:

— Toż to pan sekretarz Hauner!

Radca policji i Strogow zamienili zdumione spojrzenia.

Stary detektyw pochylił się nad zwłokami i bacznie obserwował każdy szczegół ubrania zamordowanego.

— Znowu sadza... — mruknął pod nosem.

Na plecach zabitego znać było dwie duże, czarne plamy, jakby rozmyślnie nalepione.

— Sądzi pan, — spytał spokojnie Strogow, wskazując na zwłoki, — że ta sama ręka zabiła Haunera, która onegdaj wyprawiała na tamten świat Teitelberga?

Radca policji wzruszył ramionami na znak, że niebardzo orjentuje się w tragicznym wypadku. Potem starał się odwrócić zwłoki twarzą do sufitu. Bezwładne ciało ciężko jednak ku ziemi. Strogow pomógł detektywowi.

Po wielkim wysiłku udało się wreszcie zmienić pozycję zwłok. Badali przyczynę śmierci. Na szyi zamordowanego znaczył się mały, ale

bardzo głęboki otwór, z którego obficie sączyła się krzepnąca krew. W otwartych oczach zmarłego utrwalony był strach, blada twarz zabrudzona była w kilku miejscach sadzą.

— Ale celnie go uderzył, — mrucał Blindow, dopowiadając coś do własnych myśli.

— Skąd ta sadza? — pytał coraz bardziej zaciekawiony książkę.

— Z kamina, — opryskliwie rzucił detektyw.

— Więc Hauner wlaźł kominem do tego pokoju?

Blindow poprawił okulary i popatrzył na księcia, jakby dziwił się jego niedomyślności. Wreszcie z silnym akcentem zniecierpliwienia mruknął:

— Poco miał wlaźić kominem, jeśli miał klucz od gabinetu.

— Ach, więc morderca?...

Detektyw zbył pytanie milczeniem, rozglądał się tylko bacznie po pokoju. Wreszcie oczy skierował na kasę pancerną. Wypalony przez ślusarzy kwadrat leżał teraz odbity na środku pokoju. Pieczęcie były zerwane. Z wnętrza stalowej kasy wydobyl ktoś część papierów, które leżały porozrzucane na ziemi.

Blindow zbliżył się do otworu kasy, wyjął z kieszeni olbrzymie szkło powiększające i przy pomocy silnej lampki elektrycznej badał starannie szczyrby otworu.



Na stalowych zębach powstałych z przepalania i rozdzierania łomem, widniały małe kłębki jasnej wełny. Detektyw porównał je z paltem zamordowanego. Kolor był identyczny. Nie ulegało wątpliwości, że Hauner przez otwór wśliznął się do kasy i otarł jasne, włochate palto o szczerbate zęby.

Książę i Johann stali nieruchomo w drzwiach i z uwagą śledzili każde poruszenie detektywa. Strogow podziwiał celowość ruchów starego człowieka i po każdym jego poruszeniu, po każdym geście odgadywał bieg jego myśli.

— Rzeczywiście, niebywale orjentuje się...  
— szepnął wreszcie książę do siebie.

Blindow wglębił się tymczasem w porozrzucone na ziemi papiery. Każdą ćwiartkę papieru badał przez szkło powiększające i układał systematycznie na ziemi jedną kartkę obok drugiej. Wkońcu zbliżył się do zwłok, wyjął z rąk zamordowanego gruby plik banknotów i poddał go tak samo starannym badaniom, jak papiery.

Praca ta zdawała się przeciągać w nieskończoność. Johann i Strogow bali się najmniejszym poruszeniem przerwać skupienie detektywa. Wreszcie Blindow zdjął wielkie szkła rogowe, przetrął je chustką i skierował oczy krótkowidza na księcia.

— I co pan sądzi o wypadku? — spytał z dziwnym uśmiechem, wskazując palcem na zwłoki młodego człowieka.

— Doprawdy, nic nie rozumiem. Mam wrażenie, że wsadzono mnie w jakąś gestą, czarną maź, w której tracę orientację, — odpowiedział Strogow i bezradnie rozłożył ręce. — Ale pan radca musi mieć przecież jakiś sąd o wypadku...

— Wyrobionego zdania, oczywiście, jeszcze nie mam. W każdym jednak razie dziękuję Bogu, że my we trójkę wyjdziemy w tej chwili cało z tego gabinetu... Tak jest... Niech się książę nie dziwi... Tylko opatrności boskiej zawdzięczamy, że nie leżymy tu wszyscy trzej, jak barany obok Haunera. Książę nie wierzy?... — spytał detektyw i przez jego drobną, pomiętą twarz przebiegł dziwny uśmiech.

Johann zbladł. Z trwogą rozglądał się po kątach pokoju. W oczach księcia malował się niepokój. Obydwaj mieli wrażenie, że w tym pokoju znajduje się jakaś piekielnie mocna, a niewidzialna ręka, która z piorunującą szybkością może im zadać cios. Po ciele obu przebiegały dreszcze przerażenia.

— Nie bój się Johann, — zaśmiał się radca policji.—Żaden duch, o którym słyszałeś we wsi, nam nie grozi, tylko żywy, sprytny, i to niezwykle sprytny zbrodniarz. Niebezpieczeństwo minęło z chwilą, gdy zapaliliśmy światło. W ciemności

mogło być nami nieco gorzej. Mogło być to samo, co z panem sekretarzem barona Teitelberga... Ale szkoda czasu na dyskusje... Schodźmy powoli na dół. Muszę telefonicznie wezwać komisję sądowo-lekarską i obejrzeć pokoje gościnne. Sądzę, że i tam znajdę coś ciekawego...

Gdy znaleźli się w klatce schodowej, książe Strogow zatrzymał Blindowa.

— Panie radco... — mówił Strogow, patrząc nieśmiało w oczy starego detektywa.

— Słucham księcia....

— Niech mi pan powie, czy baronowej Teitelberg grozi pod tym dachem jakieś niebezpieczeństwo?...

— Doprawdy książe, że trudno mi odpowiedzieć. Zbyt mało jeszcze orientuję się w sytuacji.

Mina księcia zdawała się być coraz bardziej zakłopotana, oczy jego szukały czegoś w kącie korytarza, wahał się chwilę, ale potem mówił z rosnącym niepokojem:

— Bo wie pan radca... Choć może nie powinienem tego mówić... ale baronowa Teitelberg jest mi bardzo droga... Ani przez chwilę nie wahałbym się poświęcić dla niej wszystkiego. Zrozumie więc pan, że czuję straszny lęk i niepokój. Obawiam się, że w tym przeklętym domu dopełnia się jakiś straszliwy akt zemsty za jakieś popełnione zbrodnie... Oczywiście,

nie wiem nic pewnego, ale tak mówi mi intuicja. Boję się, czy ten akt zemsty nie dosięgnie tej biednej, nieszczęśliwej kobiety, której jedynie winą jest chyba to, że była żoną zamordowanego... Przyznam otwarcie, że boję się pozostawić baronową Teitelberg w tych tragicznych ścianach, w których co chwila dokonywa się jakaś zbrodnia. Chciałbym przenieść ją stąd w jakieś bezpieczniejsze miejsce.

Blindow patrzył długo w oczy księcia. Dostrzegł w nich głęboką troskę i lęk. Na bladej twarzy Strogowa malował się głęboki smutek i zakłopotanie. Prawdopodobnie obawiał się, czy słowa jego zostaną należycie zrozumiane.

Mimo całej opryskliwości i zgryźliwości usposobienia, stary urzędnik poczuł nagle sympatję do tego młodego człowieka, z którego oczu były cienie marzycielstwa.

— Książę jest Rosjaninem? — spytał detektyw, kładąc chudą rękę na ramieniu Strogowa.

— Tak, jestem Rosjaninem.

— Poznałem, — szepnął miękko Blindow. — Każdy z was jest marzycielem. Więc i książę nie stanowi wyjątku... My Niemcy sentymentem nie grzeszymy, ale ja rozumiem pana... Niestety, radzić nie mogę. W tej chwili nie mogę się zorientować, czy baronowej grozi niebezpieczeństwo, możliwe, że za kilka godzin będę miał jakiś wyrobiony pogład na zbrodnię...

Nie widzę jednak powodu, dla którego baronowa nie miałaby opuścić tego domu, nad którym unosi się jakieś nieszczęście... Dobrze byłoby, gdyby książe narazie nie zawiadamiał baronowej o tragicznej śmierci sekretarza. Uważam, że jest zbyt silnie wyczerpana nerwowo i nowych wstrząsów należy jej oszczędzić. Zachodzi jednak wątpliwość, czy baronowa zgodzi się opuścić mieszkanie przed pogrzebem męża? Ale to już zostawiam wpływom księcia... Ja muszę dalej prowadzić dochodzenia na miejscu i dopiero po upływie godziny opuszczę willę. Bardzo pragnąłbym, aby udało się panu namówić baronową do wyjazdu w tym czasie... No, a teraz pora iść do gościnnych pokoi. Dobranoc panu.

Blindow uściskał mocno rękę księcia, przywołał służącego i z nim razem udał się do gościnnych pokoi. Strogow patrzył przez chwilę na chudą postać oddalającego się detektywa i mruknął do siebie:

— Poczciwiec... Widocznie musi mieć w sobie jakąś domieszkę krwi słowiańskiej, — potem przeszedł hall i korytarz i zastukał lekko do drzwi baronowej Teitelberg.

Siedziała na tem samem miejscu, na którem ją zostawił. Zdawała się być mniejsza i bardziej złamana. Spytała gorączkowo:

— Byliście na górze?

— Tak. Stary detektyw marudził, brał jakieś pomiary, coś odrysował. Dla przyzwoitości musiałem mu towarzyszyć. Gdybym jednak wiedział, że jego praca tak długo przeciągnie się, byłbym wcześniej go pożegnał...

— Nie masz pojęcia, — przerwała mu nerwowo — jak bardzo dłużyły mi się chwile oczekiwania. Jakieś dziwne przeczucia zaczęły mnie opanowywać. Zdawało mi się, że czai się tam jakieś niebezpieczeństwo, że znowu jakiś trup leży na czerwonym bucharze...

Strogow zachnął się.

— Doprawdy, Luizo, — mówił z silnym niepokojem w głosie, — zaczynam obawiać się o twoje zdrowie. Słowa Blindowa wydają mi się teraz bardziej słuszne, aniżeli przypuszczałem.

— Jakie słowa?

— Ach, nie chcę ci powtarzać, aby jeszcze bardziej nie drażnić twego systemu nerwowego...

— Proszę cię, Dymitr, nie taj nic przede mną... Powiedz, co Blindow mówił...

— Mówił, że obawia się, iż twoje przeczułone nerwy nie dotrwają do końca... Nie chcę cię przerażać, ale powiedział, że w tyloletniej swojej praktyce niejednokrotnie natknął się na wypadki, w których zbytne wzruszenie, a szczególnie długotrwały strach, odbiły się na umyśle...

Chwyciła spazmatycznie swego przyjaciela za rękę. W jej oczach tliły błyski szalonego lęku.

— Dymitr, ty sądzisz...

— Ależ uspokój się, nie nie sądzę. Na szczęście widzę cię zdrową, ale nerwowo niezwykle wyczerpaną. Na to jednak jest rada...

— Jaka?

— Prosta: opuścić miejsce, które jest powodem rozstroju i lęku. Tak doradziłby ci każdy lekarz...

— Ależ to niemożliwe, abym opuściła ten dom przed pogrzebem męża.

— Zupełnie możliwe. Każdy uczciwy człowiek doradziłby ci to samo. Nie wiem, co w tej chwili powinno być dla ciebie droższe, czy twoje zdrowie, czy opinia ludzi z którymi nigdy się nie zetkniesz?... Jeszcze jedna noc spędzona samotnie w tych murach może dokończyć dzieła rozstroju nerwów...

— Przecież ty, Dymitr, nie odejdiesz... — mówiła, chwytając go kurczowo za rękę.

— Pomyśl, Luizy, co gorsze może mieć następstwa dla twojej opinii, czy to, że ja spędzę w tym domu żałoby noc do świtu, — czy też to, że ty spędzisz kilka godzin poza willą...

— powiedział miękko Strogow, tuląc ją do siebie.

Z braterską niemal tkliwością gładził długo jej miękkie, puszyste włosy, potem przycisnął jej ręce do swojej twarzy i prosił:

— Luizo, odrzuć egoizm. Czy wolisz zostać w tych przeklętych murach z człowiekiem, który złamał i zmarnował twoje życie, czy odejść stąd z człowiekiem, który kocha ciebie każdą komórką swojego serca i duszy i radby prowadzić cię przez życie w słońcu i szczęściu? Rozważ to...

Całował jej ręce, oddechem starał się rozgrzać jej zimne palce.

Zwiesiła głowę, namyślała się nad czemś głęboko. Strogow czuł, że waha się. Postanowił rzucić na szalę ostatni argument:

— Erika była o wiele rozsądniejsza od ciebie. Wyjechała z domu, nie troszcząc się zupełnie o to, co powie opinja. Ona rozumiała znakomicie, że nie polepszy sytuacji, a nerwy zdezeluje zupełnie. Wyjechała i nikomu na myśl nawet nie przeszło obwiniać ją o to, że uciekła od zwłok ojca... Przed chwilą mówiłaś, że jakieś przecucia ogarniają cię. Wierzę, że w przecuciach kobiety jest zawsze atom jasnowidzenia. Nie wykluczam, że nowy straszniejszy jeszcze grom może uderzyć...

Podniosła głowę, spojrzała mu w oczy.

— Masz rację, Dymitr. Wyjadę stąd zaraz, ale gdzie? — szepnęła cicho.

— Pozostaw to mnie, — prosił, gładząc jej ręce. Przewiozę cię tam, gdzie bezpiecznie, gdzie żadna potwarz nie będzie mogła paść na twoją głowę...

— Dziękuję ci...



Strogow objął ramieniem smukłą postać swej kochanki, i podszedł z nią do lustra, zapalając duży pająk. Strumień białego światła wypełnił buduar, przełamał i wypędził gnębiące światło ampli.

— Przypatrz się, Luizy, — mówił Strogow, wpadając w dobry humor. — Zmizerniałaś, przybladłaś, na twarzy twojej utrwalił się wyraz jakiegoś strasznego zgnębienia... Czy warto?

Uśmiechnęła się blado.

W oczach jego zajaśniały teraz błyski szczęścia. Obsypał jej ręce pocałunkami.

— Ale ubieraj się szybko. Ja zadzwonię do garażu i każę szoferowi zajechać przed dom.

\*

\*

\*

## VI.

### W HOTELU ADLON.

Pięknie emaljowana limuzyna płynęła peł-  
gazem przez gładkie jezdnie Grunewaldu.  
Na Kurfürstendamm auto wymijało zęczenie  
tramwaje i autobusy, zwolniło nieco pęd koło  
ogrodu Zoologicznego i na Brandenburger Tor  
czekało cierpliwie na wolne miejsce w olbrzymim  
łańcuchu pojazdów, które zmierzały w  
najbardziej ruchliwą arterję Berlina, na ulicę  
„Unter den Linden.“

Przez zwierciadlane szyby limuzyny patrzyła  
baronowa Teitelberg z takim zdziwieniem i za-  
interesowaniem na ruch uliczny, jakby to  
olbrzymie, jasno oświetlone miasto przesu-  
wało się po raz pierwszy przed jej oczyma.

— Dymitr, gdzie kazałeś jechać szoferowi?  
— spytała.

— Do hotelu Adlon. Telefonicznie za-  
mówiłem dla ciebie mały, dwupokojowy apar-  
tament...

Tłok pojazdów na placu Paryskim był tak wielki, że limuzyna musiała czekać długą chwilę na wolny przejazd. Potem wolno, krok za krokiem posuwała się naprzód, aż stanęła przed jasno oświetlonem wnętrzem wspaniałego hotelu. Kilku czerwonych boy'ów podbiegło do limuzyny i pomogło otworzyć drzwi.

Gdy baronowa Teitelberg wysiadła, księżę Strogow wydał szoferowi polecenie, aby bezwzględnie wracał na Grunewald, a rano, gdy tylko pokojówka wróci od swej ciotki ze Stra-lau, ma ją przywieźć do hotelu. Po chwili szofer odjechał, a księżę podał troskliwie ramię swojej towarzyszce i przeprowadził ją przez tłum ludzki do wnętrza wspaniałego hotelu.

Pani Luiza zatrzymała się na chwilę w rze-siście oświetlonym hallu i z radością patrzyła na szklanny kołowrót, który wpuszczał i wy-puszczał barwny tłum ludzi.

— Tak mi tu jakoś rażno w tym tłumie,  
— szepnęła, tuląc się do swego przyjaciela. —  
Tam na Grunewaldzie, w poszumie lasów świer-kowych, w samotnej, przekłętej willi, zdawało mi się niepodobieństwem ujrzeć już ludzi i roze-śmiane ich twarze. Tam na Grunewaldzie było coś we mnie z tej żony hinduskiej, która czeka cierpliwie, aż spalą ją na stosie razem z mężem... Patrz, Dymitr, — nawet Colly cieszy się, że wyleciał z tego domu....

Pies rzeczywiście nastawił uszy, z jakąś rozkoszą poruszał wilgotnemi nozdrzami, a na znak zadowolenia wachlował olbrzymim, puszystym ogonem.

Dyrektor hotelu podszedł do księcia i zawiadomił, że kufry baronowej przeniesione są do apartamentu na pierwszym piętrze.

Baronowa i Strogow weszli na schody, wysłane puszystym dywanem, kierując się za boy'em, który uprzejmie wskazywał im drogę. Weszli wreszcie w labirynt jasno oświetlonych pokoi hotelowych i stanęli przed drzwiami pokoju.

Apartament zachwyił baronową. Białe, srebrną nitką przetkane tapety na ścianach i ponsowe foteliki na jasnym dywanie odbijały jak piękne, dojrzałe maliny. Światło wpłynęło doskonale na usposobienie pani Luizy. Zaczęła odzyskiwać humor.

— Wiesz, Dymitr, że twój pomysł był genialny...

— Musisz mi też podziękować, gdy tylko boy wyjdzie, — szepnął jej cicho do ucha.

Oboje czekali cierpliwie, aż chłopiec oświetli następny pokój.

Zaledwie pozostali sami, Strogow otoczył ramieniem swą kochankę i silnie przycisnął ją do siebie. Odchyliła wtył głowę, a w jej oczach migotały blaski miłości i poddania się. Wpił

się ustami w jej małe usta tak, iż utracili oddech. Wysunęła się wreszcie z uścisku i wybuchła szczerym śmiechem:

— Doprawdy, Dymitr, że czuję, jakby wszystko, co tam przeżyłam, było jakimś strasznym snem, czy koszmarem, który już prześniłam. Teraz dopiero rozpoczął się dla mnie dzień...

— To doskonale, że opadają z ciebie te smutne żałobne strzepy. Zaczynasz nowe życie...

— Masz rację, — mówiła z łobuzerskim zacięciem, — czuję nawet, że w to nowe życie wchodzi jak noworodek, bo głodna jestem strasznie... Teraz dopiero przypomniałam sobie, że cały dzień nie miałam nic w ustach. Zawołaj kelnera i każ mu przynieść kolację tu do moich nowych apartamentów...

— Mam inny pomysł. Zejdziemy na dół do restauracji.

— Za żadną cenę, — przerwała mu przerażona. — Jak wyglądałabym tam w tej czarnej, żałobnej sukni... Niewątpliwie ktoś ze znajomych, gdyby zobaczył mnie tam, roztrąbiłby po Berlinie, że po śmierci męża włóczę się po restauracjach...

— Kiedy nie dasz mi skończyć... — przerwał Strogow, udając zniecierpliwienie, — właśnie, że nie chciałem wejść do sali restauracyjnej. Obok sal są małe gabineciki. Do jednego z nich możemy dostać się przez boczną klatkę

schodową, nikt nas nawet nie zauważy. Jest to miły, zaciszny kątek, raczej łoża w wykuszu.

— Jak widzę, doskonale orjentujesz się w gabinetach hotelu Adlon. Przypuszczam, że niejedną noc spędziłeś tu w wesołym towarzystwie...

— Niewątpliwie. Dziś jednak bardzo żałuję, bo było to przeważnie nudne towarzystwo. Niestety, wtedy nie znałem jeszcze ciebie.

— Nie kręć! — przerwała mu oburzona. — Chcę tu zjeść kolację i nie myślę iść do żadnego gabinetu, w którym ty zapijałeś się w towarzystwie kobiet.

— Ależ, Luizo...

— Nie chcę! Zrozumiałeś? — Usunęła się do okna, patrzyła na jasno oświetlony plac i mrowie ludzkie, które posuwało się jak długi elastyczny wąż po białych, szerokich chodnikach.

Podszedł do niej, chciał ująć jej rękę. Usunęła niecierpliwie, nie odrywając oczu od okna. Strogow nachylił się nad nią i prosił:

— Luizo, doprawdy, krzywdzisz mnie...

— Ja ciebie? Wiesz, to oburzające. Nie chcesz chyba, abym cieszyła się na myśl o kobietach, które zdobywałeś w zacisznych gabinetach restauracyjnych.

— Ależ dlaczego myślisz o nich, przecież nie ci nie zależy na ich cnocie...

— Jesteś bezczelny!

— Luizo, — perswadował jej łagodnie. — Przed chwilą mówiłaś, że jesteś mi wdzięczna, że wyrwałem cię z Grunewaldu, a teraz gniewasz się na mnie za jakieś urojone moje przestępstwa. Tak cieszyłem się, widząc cię w dobrym humorze. Pół życia byłbym przed godziną oddał za to, że zobaczyłem uśmiech na twojej twarzy. Teraz zaś, gdy zapomniałaś o przejściach, zastruwasz mi chwile szczęścia złym humorem, na który doprawdy nie zasłużyłem.

Odwróciła głowę, spojrzała na niego i żal jej się zrobiło kochanka, który z taką troską i tkliwością wyrwał ją z tej nieszczęsnej willi na Grunewaldzie.

W jej oczach musiał wyczytać wreszcie przebaczenie, bo chwycił jej rękę i pokrywał pocałunkami.

— A teraz zadzwonię na służącego, — mówił uszczęśliwiony, — i każę mu podać tu do pokoju kolację...

— Nie dzwoń, właśnie nie będę tu jadła...

— Mówiłaś, że jesteś głodna.

— Tak, ale tu jeść nie będę.

— Więc gdzie?

— Właśnie zejść na dół. Chcę spojrzeć na ten gabinet, w którym mnie oszukiwałeś... Dowiedę ci, że to nie zepsuje mi apetytu...

Stał bezradny, nie wiedząc co począć. Bał się dzwonić, aby nie wywołać znów złego hu-

moru. Postanowił płynąć z falami jej kaprysów i nie troszczyć się, gdzie go one zaniosą.

— Nad czym myślisz? Zejdź na dół, zamów kolację, a ja przez ten czas poprawię fryzurę.

Wyszedł posłusznie z pokoju, wszedł do sali restauracyjnej i zamówił gabinet z fiolkowem obiciem. Potem podyktował kelnerowi spis potraw i wina, jakie mają być podane. Gdy opuszczał salę, natknął się niespodzianie w hallu na hrabiego Witzingerode.

— A, książę! — powitał go z radością młody arystokrata.—Tak dawno nie widzieliśmy pana. Cały klub tęskni. Nie dalej jak wczoraj Klotwitz i Thorey wypytywali z troską o pana. Tak miły partner ubył im przy bridge'u i pokerze. Podobno wyjechał pan z Berlina, aby podziwiać girls z „Folies Bergères“ i wypić flaszkę prawdziwego szampana u Duval'a. My niestety musimy zadowalniać się namiastką niemiecką...

— Cóż to, hrabia tak gorliwy patrjota i nie szczyli się swoją namiastką?

— Patrjotą jestem, bo patrzę równie jak moi najbliżsi z tęsknotą na Doorn, ale szampan i dziewczęta wolę autentyczne... „made in Frenche.“ Niech więc książę przemówi wreszcie i opowie co słyhać w Paryżu.

— Ach na temat, który pana tak interesuje, niestety nie wiele powiedzieć mogę. Biegałem



cały dzień za interesami. Wprawdzie wieczorem nie chodziłem spać z kurami, ale musiałem silnie ograniczać się, bo bóg mamony nie był zbyt dla mnie łaskaw... Zapewnić pana jednak mogę, że zwyczajka franka nie zaszkodziła zbyt kabaretom paryskim. Wszędzie tłok i kąpiel z musującego wina. Tylko rewje i nagie girls wychodzą z mody. Najpierw publiczność polapała się, że boskie kształty, a szczególnie klasyczny biust dziewcząt robi się podskórnymi zastrzykami parafiny, a potem girls nie wytrzymują kalkulacji rachunkowej. Utrzymanie trzynastu dziewcząt, które zapełniają najwyżej jeden numer programu, a wymagają oprócz gaży, utrzymania całego sztabu masażystek, odświeżających skórę kąpeli, kilogramów szminek, litrów płynnego pudru, przedstawia się rachunkowo fatalnie. Ktoś obliczył, że pielęgnacja i training wszystkich koni wyścigowych księcia Bourges, nie osiąga ani połowy tej sumy, którą spotrzebowuje trzydzieści girls Goold Ween'a. To jest rujnujące dla dyrekcji każdego kabaretu i dlatego dziś lansują murzynki... Ja osobiście wolę jedną, do połowy ubraną Josephinę Becker, aniżeli sto ubranych jak do wanny girls. Oczy, ramiona, ruchy Becker to doprawdy narkotyki... Jest w niej coś z podzwrotnikowej „Batuali.“ Tyle mogę hrabiemu powiedzieć o kobietach. O szampanie jeszcze mniej, chyba

tylko to, że zamiast „Veuve Clicot“ lansują „Filipa Clicot“, który wywołuje niemiłą zgagę. Ale muszę pana pożegnać, bo spieszę na kolację.

— Dokąd?

— Do gabinetu.

— Książę doprawdy nie traci ani chwili czasu. Widocznie trzyma się pan ściśle zasady: ani jednej nocy bez przygód — powiedział Witzingerode ze znaczącym uśmiechem, — ale mimowoli zatrąję doskonały humor księcia niemiłą wiadomością. Z pewnością słyszał pan o tragicznej śmierci naszego znakomitego partnera pokero-  
wego, dr. Rauburga...

— Jakto Rauburg zmarł? — spytał książę głęboko zamysłony.

— Zastrzelił się.

— Ależ na Boga kiedy? Dlaczego?

— Onegdaj w południe.

— Nie wie hrabia, jaki był powód samobójstwa? — spytał Strogow, jakby niedowierzając jeszcze wiadomości.

— Nikt nie wie. Kursują tylko o tem plotki. Pewne jest to, że zastrzelił się w prezydjum policji. Jedni opowiadają, że podobno był wmieszany w jakąś niemiłą historję polityczną, drudzy mówią, że powodem samobójstwa miały być olbrzymie długi karciane. Sądzę, że przez to

samobójstwo i książę poniesie dotkliwą stratę materjalną. Podobno Rauburg był panu winien poważną sumę...

— Ależ to plotka, — zaprzeczył gwałtownie Strogow. — Rauburg nie zaciągał u mnie żadnych długów, a kilka drobnych zobowiązań karcianych regulował zawsze przed upływem dwudziestu czterech godzin. Wiadomością o tej tragicznej śmierci tak mnie hrabia zaskoczył, że wprost ochłonąć nie mogę z wrażenia. Taki miły, porządny człowiek...

— Książę jest prawdziwym gentlemanem. Przecież doskonale wiem, że zmarły z ostatniego chemain de fer'a był panu winien czterdzieści tysięcy marek. Nie przypuszczam, aby sumę taką był w stanie zapłacić w ciągu kilku dni... Książę widocznie nie chce zostawić żadnej plamy na Rauburgu... To doprawdy piękny gest... Szkoda tego człowieka... Przypuszczam, że powód samobójstwa musiał być bardzo poważny, bo on tak kochał życie...

Witzingerode spojrział wreszcie na zegarek i szybko zaczął się żegnać.

— I ja dziś idę w ślady księcia tylko bardziej oficjalnie, bo nie w gabinecie, tylko tu w sali restauracyjnej mam rendez-vous z Erną Braun. Chcemy odwiedzić dziś „Mascotte.“ Niewątpliwie spotkam się tam z panem...

Strogow nie odpowiedział. Pożegnał się roz-targniony, widoczne było, że sprawą samobój-stwa Rauburga przejął się bardzo. Zaledwie wszedł do apartamentu baronowej podzielił się z nią tragiczną wiadomością.

— Tak, mi żal tego człowieka, — mówił Stro-gow wzruszony.—Taki niespłacalny dług wdzię-czości miałem wobec niego...

— Dług? — spytała zdziwiona.

— Tak Luizo, widocznie zapomniałaś, że ten poczciwiec na raucie dobroczynnym w salonach hrabiów Lencky'ch przedstawił mnie tobie.

— Masz rację, to Rauburg był łącznikiem między nami,—mówiła w głębokim zamyśleniu.—Tak przypominam sobie dokładnie tego siwego wytwornego człowieka... — mówiła dalej z ża-lem.—Ach to on przedstawił mi ciebie na raucie. Chciałem wtedy bliżej poznać jakąś „rosyjską duszę.“ Tyle mówiło się wówczas w Berlinie o rewolucji bolszewickiej, o waszym romantyzmie, a równocześnie dzikiej krwiożerczości. Mówiono o Rosji jako o kraju wszelkiego nie-prawdopodobieństwa. Zbliżyłeś się do mnie, ale nie razileś zupełnie. Byłeś tak poprawny i swobodny, że raczej przypominałeś człowieka z nad Sekwany, aniżeli z nad Wołgi... Początkowo byłam rozczarowana tobą, ale czułam do ciebie sympatję. Pamiętam doskonale, że tego wieczoru przeszliśmy do zimowego ogrodu i tam

opowiadałeś mi tyle ciekawych rzeczy o sobie i swoim kraju. Byłam tak zaszuchana, że zapomniałam o całym świecie. Dopiero mąż zbudził mnie z zaszuchania. Ale przyznaj Dymitr, że odgrywałeś rolę nieszczęśliwego. Wiedziałeś, że tem najlepiej zyskasz moją sympatję...

— Mylisz się, — przerwał gwałtownie. — Wobec ciebie byłem zawsze szczery. Wtedy byłem nieszczęśliwy. Nie miałem żadnych wieści z kraju od moich najbliższych. Myślałem, że pozostali w tym strasznym krwawym oparzelisku. Kiedyś opowiem ci wszystko, a przekonasz się, co nurtowało we mnie, a przecież musiałem być uprzejmy, uśmiechać się, by nikomu nie psuć rautowego nastroju. Ten wieczór nigdy chyba nie zniknie z mojej pamięci...

Uśmiechnął się boleśnie i patrzył na dywan, jakby na nim, jak na ekranie, przesuwały się jakieś sceny z jego tragicznego życia.

— Biedny Dymitr, — szepnęła cichutko.

Jej szept zbudził go z zamyślenia. Oderwał oczy od dywanu.

— Tak wtedy byłem biedny — potwierdził cicho — ale dziś los wynagrodził mnie stokrotnie. Mam ciebie... Mam prawo snuć wielkie i śmiałe plany na przyszłość. Boję się jednak myśli: czy pójdziesz za mną. Może chwilowy kaprys twój pryśnie i jednym zamachem potargasz wszystkie mgły moich marzeń. Wtedy byłbym bardziej

nieszczęśliwy niż tam u Lencky'ch. Wtedy dopiero miałabyś prawo powiedzieć: — Biedny Dymitr!

Położyła rękę na jego ramieniu, patrzyła mu w oczy, przesłonięte mgłą smutku.

— Pójdę za tobą — potwierdziła stanowczo. — Choć czasem zdaje mi się, że jesteś zbyt trudną dla mnie zagadką... A czasem mam wrażenie, że taisz coś głęboko w swych myślach, jakbyś się bał, bym nie odgadła tajemnicy...

— Ależ mylisz się, Luizo. Nic przed tobą nie taję. Wszakże przyznałem się do wszystkiego. Nawet do największych kłopotów materialnych. Wiem bowiem, że jestem silny i obrotny, i wkrótce wybrnę z trosk i niepowodzeń. Zrozum jednak, że czasem i ja uginam się pod tym obuchem. Wtedy milczę, a tobie zdaje się, że osłaniam się tajemniczością. A czasem odzywa się we mnie niepotrzebny sentyment, który w życiu już mi niejedno przekreślił. Onegdaj naprzykład wyjechałem — jak wiesz — do Paryża, aby sprzedać ostatni swój dobytek: małą willę w Beaulieu nad morzem. To nie był akt sprzedaży, to była najstraszliwsza wiwisekcja mego serca... Wykrawałem najdroższe wspomnienia swojej młodości. W tym czarownym zakątku Riwjery francuskiej umarła przed laty moja żona. Tam przeżyłem z nią rok, zanim zamknęła oczy. Willa została, jak najdroższe

memu sercu mauzoleum. Nie było roku, abym nie spędził w tej willi kilku dni w samotności. Chodziłem wśród najdroższych pamiątek. W samotności rozmawiałem nieraz ze Zmarłą. Zdawało mi się, że niemożliwe, aby duch jej nie powracał do willi, w której tyle miłości i przywiązania jej okazałem. A teraz, gdy bolszewicy wyzuli mnie z majątku, musiałem sprzedać to mauzoleum... Ale serce krwawiło bardzo... Widzisz, jestem romantyk, a w życiu to wielka wada. Wolałbym być człowiekiem bez skrupułów, byłoby mi lepiej...

Baronowa Teitelberg przymknęła powieki. Czy błysnęły na jej długich rzęsach.

— Nie płacz, Luizy, — prosił. — Tylko nad zmarłym kochankiem wolno kobiecie wylewać łzy. W żyjącego powinno się patrzeć z wiarą. Nie jestem jeszcze bankrutem. Pozostał mi wielki majątek — twoja miłość. Uważam się za magnata, któremu niejeden zazdrości szczęścia.

Całował oczy i bladą twarz kochanki, wpił się ustami w jej czerwone, krwią nabiegłe usta, gniótł je i rozchylał. Tuliła się coraz mocniej do niego, jakby chciała opleść go swoim giętkim ciałem. Z dziką namiętnością i zapamiętaniem całował jej szyję i włosy, a pod wpływem tych pocałunków, jej piersi falowały coraz silniej, oddech stawał się coraz krótszy, oczy zasnuły się mgłą nieprzytomności. Ciała kochanków

prężyły się, jakby starały się wniknąć jedno w drugie, i złączyć się w spazmatycznym, nierozzerwalnym uścisku...

Nagle zerwali się, odskoczyli szybko od siebie. Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

— Proszę wejść, — powiedziała zmienionym głosem i szybko zaczęła poprawiać włosy.

Wszedł mały boy hotelowy i zameldował, że gabinet restauracyjny już przygotowany.

— Zaraz schodzimy na dół, — rzucił Strogow niecierpliwie, aby jak najprędzej pozbyć się chłopca.

Boy zamknął drzwi za sobą.

Wtedy Strogow usunął się w fotel, przymknął oczy, starał się opanować niedawne wzruszenie. Szybki oddech poruszał jeszcze jego klatkę piersiową, po twarzy przebiegały skurcze niezaspokojonej namiętności. Pani Luiza wyszła do drugiego pokoju, przyciskała chłodne ręce do rozpalonej twarzy, drżącymi ze wzruszenia palcami dotykała pulsującej skroni.

— Dymitr, Dymitr — szeptały cicho jej nabrzmiałe usta, jakby ciągle jeszcze łaknęły tych gorących, szalonych pocałunków.

Długo nie mogła się uspokoić. Chwiejnym z osłabienia krokiem podeszła wreszcie do konsoli i grzebieniem starała się wyprostować potargane włosy. Potem cienką skórką zamiszową przecierała twarz i szyję, na której zna-



czyły się ślady jego mocnych pocałunków, wreszcie usiadła w fotelu. Siłą woli starała się uspokoić rozpetane tętna.

— Głupi pomysł był z tym gabinetem...

powiedziała po chwili z dziwnym uśmiechem

— Mogliśmy tu zjeść kolację. Teraz niestety musimy być konsekwentni wobec służby.

— Pierwszy pomysł jest zawsze najlepszy,

— przyznał skwapliwie. — Doprawdy wolałbym tu zostać...

— Zejdziemy do gabinetu — powiedziała poważnie.

Wstał, zdjął z mosiężnego wieszaka kretowe futerko i otulił ją niem starannie. Wyszli milcząco na korytarz. Ujął ją pod ramię. Szli przez długie, jasno-oświetlone korytarze. Grube chodniki tłumily ich kroki. Strogow orjentował się znakomicie w labiryncie krętych korytarzy. Doszli wreszcie do jednej z tylnych klatek schodowych hotelu.

— Wiesz, mam wrażenie, że nawet w ciemnościach orjentowałbyś się tu nie gorzej od samego maitre d'hotel — zauważyła ironicznie.

Nie odpowiedział, roześmiał się tylko, jakby ta uwaga sprawiała mu przyjemność.

Przed drzwiami gabinetu stał kelner o nieskazitelnej bieli gorsu frakowego i tak pomarszczonej twarzy, jakby była lepiąca z popielatej plasteliny. Kelner ruchem automatu

otworzył drzwi i złożył obydwójgu głęboki ukłon, nie patrząc nawet na wchodzących.

— Wiesz, Dymitr, że ten kelner wygląda na tak dyskretnego, że wzięty nawet na średnio-wieczne tortury nie wyjawilby tajemnic swoich separatek...

— Tyloletnia tresura... — przyznał z uśmiechem. — Ile zakochanych par przewinęło się przed jego wypłowiałymi oczami. Nie potrafiłby ich nawet zliczyć... A może nieraz słyszał, jak strzał rewolwerowy przeplótł w tej separacie wystrzał korka szampanowego...

— Co ty mówisz? — pytała przerażona. I z wielką ciekawością oglądała fiołkowe obicia ścian, miękko wyściełane mebelki, mosiężne kandelabry i biały jak pierwszy śnieg obrus, na którym jaskrawą plamą odcinały się rozkwitłe róże. Dotknęła palcami ich aksamitnych płatków. Wyjęła jedną, rozkwitłą i ciężką, jakby z nadmiaru miłosnych pożądań, i tuliła ją do twarzy.

— Ile słów, ile zaklęć miłosnych słyszały te ściany, — mówiła szeptem.

— A ile przekleństw i łez ludzkich... — dopowiedział Strogow zamyślony.

Ale ona nie słyszała tych słów. Patrzyła z rosnącym zaciekawieniem na najdrobniejszy szczegół zacisznego gabinetu, aż zwrócił jej uwagę:

— Nie oglądaj wszystkiego z takim podziwem, bo gotowi wziąć cię za debjutanke. W tych sferach debjut, to śmiertelny grzech.

Usiadła spokojnie na kanapie, rozłożyła białą serwetkę na kolanach i starała się przybrać najbardziej obojętną minę. Rozśmieszyła go tą pozą, tak, że zaczął całować jej rękę.

— Ach, żebyś mogła zobaczyć samą siebie, jaka jesteś w tej chwili rozkoszna...

Wyrwała mu rękę, bo do gabinetu wszedł kelner, trzymając w rękach olbrzymią salaterkę z misternie ułożonym majonezem. Piccolo wsunął przez drzwi błyszczący wózek, w którym ze śniegu i girland liści wystawała srebrna szyjka flaszki.

Kelner milcząco wydobyl spoconą od zimna butelkę i napełnił kryształowe kielichy musującym płynem. W każdym jego ruchu akcentowała się kocia zręczność i wieloletnia wprawa. Obracał się cicho i zręcznie koło stołu, ślizgał się oczami po gabinecie, a wzrokiem ani razu nie dotknął twarzy siedzących. Potem lekko i cicho wysunął się za drzwi, jakby stąpał na gumowych podszwach.

— Pracuje według systemu Taylora. Uważałaś, że ani jeden ruch nie był zbędny, — powiedział książe, którego ruchy i mina kelnera wprawiły w doskonały humor.

Trącili się kielichami. Zimne, musujące wino smakowało jej bardzo. Wychyliła duszkiem całą zawartość kielicha.

— Na cześć nowego życia! — powiedział książę, nalewając znów płyn w kielichy.

Wzięła kieliszek do rąk, ale za chwilę postawiła go zpowrotem.

— O czym myślisz?

— Słucham, — odpowiedziała cicho.

Do zacisznego gabinetu przekradały się z sali restauracyjnej tłumione, dyskretne dźwięki orkiestry. Skrzypce i czelo łączyły jakieś namiętne tango. Słuchała i piersi jej zaczęły szybciej falować, nozdrza wachlowały niespokojnie.

— Moje ulubione tango, — powiedziała szeptem. „Tango kochania, tango mych śnień.“

Gdy umilkły skrzypce i czelo, wychyliła duszkiem kielich szampana. Teraz czuła się w gabinecie doskonale. Odzyskała taką swobodę, jakby знаła ten pokój od kilku lat.

Kelner wchodził co kilka minut, — wnosil coraz to nowe, coraz bardziej wyszukane potrawy. Poruszał się cicho jak duch, nalewał ciągle kielichy złotym płynem i znikał za drzwiami.

— Dymitr, każ orkiestrze jeszcze raz zagrać „Ostatnie tango,“ — prosiła. — Może rzeczywiście jest dla mnie ostatnie tango...

— Chciałaś powiedzieć pierwsze, — zaprzeczył gwałtownie.

Zawołał kelnera, wyjął duży stumarkowy banknot i wydał orkiestrze polecenie. Za kilka minut usłyszeli tuż za drzwiami gabinetu, tony pełnego tłumionej namiętności tańca argentyńskiego. Znów płakały skrzypce i czelo, dzwoniła banjo — gitara.

Słuchali w milczeniu, a wtem on uczuł, że jej ręka szuka jego ręki. Wtedy odtrącił gwałtownie fotel, przysunął się do niej. Spazmatycznie objęła go ramionami i pierwsza wpiła się ustami w jego usta. Chciwie wchłaniała jego oddech, palcami namiętnie wpiła się w jego szyję. Tłumiona na górze w apartamencie, namiętność wróciła teraz spotęgowana.

— Zamknij drzwi, — szepnęła, łamiąc się w jego uściskach.

Resztką świadomości wstał i zasunął zatrask. Potem szybko podbiegł do niej, ukląkł i całował chłodny jedwab jej pończoch. Teraz zdawało się im, że jasne światło w kandelabrach przygasło...

Za drzwiami lkały spazmatycznie skrzypce i czelo...

.....

Gdy opuszczali gabinet, blade światło dnia czało się w korytarzach. Świtało. Prowadził ją otuloną w futro i czuł, że cała drży. Przycisnął silnie jej ramię do siebie.

— Dlaczego tak drżysz, kochanie? — spytał, troskliwie.

Nie odpowiedziała, szybko biegła przez labirynt korytarzy i zatrzymała się przed drzwiami swego apartamentu.

— Czy żałujesz dzisiejszej nocy?... — spytał starając się na chwilę jeszcze ją zatrzymać.

Ale nie dała mu skończyć zdania. Szybko przekreśliła klucz w zamku, potem gwałtownie zamknęła mu usta długim pocałunkiem. Chwilę trzymał ją jeszcze w swoich ramionach, potem wysunęła się i znikła za drzwiami.

Strogow czekał jeszcze kilka chwil na korytarzu, potem spojrzął na zegarek — docho-dziła szósta. Przeciągnął się leniwie i skierował się przez główne schody ku wyjściu.

Deszcz jesienny silnymi strugami zmywał chodniki i jezdnie. Plac Paryski był w tej chwili opustoszały, nawet taxi uciekły przed wilgocią. Od strony Charlottenburgu dął przenikliwy, ostry wiatr, skłębiał krople deszczu i ciskał je z siłą w twarz Strogowa.

— Psia pogoda — mruknął niezadowolony. Podniósł kołnierz futra i wszedł w ulicę „Unter den Linden,“ aby złapać wolną dorożkę samo-

chodową. Za chwilę usłyszał sygnał klaxofonu samochodowego. Kazał się zawieźć do domu na Mohrenstraße.

W dorożce uczuł silne zmęczenie. Prąd świeżego powietrza, zamiast go ożywić, podwajał senność. Strogow starał się jednak otrząsnąć ze stanu ogarniającej go bezwładności, siłą woli podtrzymywał powieki, aby nie opadły.

— Za godzinę muszę być zpowrotem w hotelu Adlon — myślał, walcząc z sennością.— Najpierw rozmówię się z jedną, a potem z drugą. Ani godziny nie mam teraz do stracenia...

Dorożka zatoczyła łuk koło kościoła św. Trójcy i wolno sunęła przez Mohrenstraße.

— Nareszcie jestem w domu, — pocieszał się — kąpiel ożywi mnie.

Wszedł do mieszkania, zbudził służącego.

— Pan Zaharow był?

— Był, — odpowiedział służący, starając się oprzytomnieć po głębokim śnie.

— Co mówił?

— Ano, nic. Dziwił się, że pana niema w domu. Obiecał, że przyjdzie dziś po południu o czwartej. Prosił bardzo, aby pan go przyjął. Potem dzwonił ktoś z konsulatu, czy ambasady i zawiadomił, że wszystkie paszporty zagraniczne są już wystawione i każdej chwili mogą być podjęte. Chciałem zapytać go o bliższe szczegóły, ale połączenie naraz przerwano.

— Czy książę śpi? — spytał troskliwie Strogow?

— Śpi. Wczoraj chory do późnej nocy kazał sobie czytać bibliję. Potem nie pozwolił się położyć do łóżka, tylko zasnął w fotelu. Narzekał na pana... Skarżył się, że mimo tego iż lada chwila zamknie oczy, nikt nie troszczy się o przywołanie popa. Bardzo był rozsierdzony, groził, że pana...

— Milcz! — mruknął poirytowany Strogow, potem zacierając zziębnięte ręce, rozkazał krótko:— Przygotuj mi szybko kąpiel i śniadanie.

— Dlaczego jestem tak głodny? — dziwił się Strogow niezmiernie.— Jadłem przecież obfitą kolację... Ano, za dużo emocji... — rozstrzygnął krótko i wszedł do sypialni, aby przebrać się w pyjamę.

Duże, rozścielone łóżko nęciło go strasznie. Biała pościel, jakby tkliwym szeptem zapraszała go do spoczynku.

— Nie mogę, nie mogę, — bronił się przed sobą i odwrócił się od łóżka, aby nie ulec pokusie.

Ciepła kąpiel i zimny prysznic przywróciły mu zaraz siły. Po gimnastyce znikły już wszystkie ślady bezsennej nocy. Przy śniadaniu czuł się znakomicie.

— Co znaczy młodość i siły... — mówił do siebie z zadowoleniem.— Trzecia noc bezsenna



i ani śladu zmęczenia... Pracowity mam jednak dzień przed sobą, — myślał, układając plan dnia. Potem podszedł do biurka, podniósł słuchawkę telefoniczną. Połączył się z willą barona Teitelberga na Grunewaldzie.

— Czy szofer wyjechał? — spytał przez telefon. — Do Stralau, doskonale...

Położył słuchawkę, spojrzął na zegarek: dochodziła ósma.

— No, teraz muszę szybko ubierać się i wrócić do Adlon. Piękna pokojówka pani baronowej nie przypuszcza nawet, co za miła czeka ją niespodzianka..., — uśmiechnął się z zadowoleniem.

Wstał szybko od biurka i energicznym krokiem przeszedł całe mieszkanie. Chwilę zatrzymał się przed drzwiami obok łazienki i dyskretnie zapukał w nie palcem. Odpowiedział jakiś słaby ruch wewnątrz. Strogow nacisnął klamkę, wszedł do pokoju zaciemnionego żaluzjami. Panował tu nieznośny zaduch i woń jakby gnijącego ciała ludzkiego. W głębi pokoju w fotelu siedział wymizerowany straszliwie człowiek. Z pod fałd ciepłej pyjamy odcinały się ostre linje ramion. Wyschłe, żółte ręce wisały bezwładnie na poręczy fotela. Chory drgnął na widok Strogowa i uniósł nieco małą twarz porowatą jak gąbka.

— Dlaczego nie sprowadzisz mi popa? — spytał cicho i z wyrzutem szkielet ludzki.

— Ponieważ dziś przyjdzie znów do księcia lekarz. Upewnił mnie, że książę będzie długo żył, uważam więc wołanie popa za przedwczesne — rzucił twardo Strogow.

— Wiem, że mnie oszukujesz, że godziny moje są policzone — jęknął chory.

— Nie poto wydobyłem księcia z rynsztoka ulicznego i ponoszę olbrzymie koszta leczenia, aby cię oszukiwać — mówił szorstko Strogow z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Potem szybko wyszedł z pokoju, odszukał służącego i wydał mu polecenie:

— Proszę przynieść moje czarne angielskie ubranie, jakiś ciemny krawat. Na księcia trzeba ze zdwojoną bacznością uważać. Przed chwilą mimo iż nie spał, nie było pielęgniarce w pokoju.

Służący cofnął się, by spełnić polecenie. Strogow wszedł szybko do swego pokoju.

W piętnaście minut samochód unosił Strogowa zpowrotem na Plac Paryski. Deszcz ustał nieco, wzmógł się zato prąd zimnego wiatru północnego, wróżąc lada chwila opady śnieżne.

— U nas dawno już śnieg wybielił pola, — myślał Strogow z tkliwością. — Może nawet mróz chwycił, ale napewno teraz jest słońce, i wyląca całun śnieżny i zmusza człowieka do przyknięcia powiek przed blaskiem miljarda skier. Wkrótce pomyśli się tam i o zajęcach. A Boże Narodzenie już za kilka tygodni...

Strogow zatopił się w miłych wspomnieniach, bo aż przymknął oczy, a na jego pięknie wykrojonych ustach igrał wesoly uśmiech szczęścia.

Szofer zatrzymał wreszcie wóz przed hotelem Adlon. Strogow otworzył oczy, spojrział przez okno na lśniące od błota i wilgoci chodniki i jezdnie. Wstrząsnął się ze wstrętem.

— A tam śnieg... — powtórzył i wszedł do hallu hotelowego.

O tej porze ruch hotelowy był już silny. Na korytarzach grały dzwonki, służba przesuwała się cicho między tłumem podróżnych, odprowadzając każdego gościa do jego pokoju. Na ciężarowych windach wyjeżdżały i zjeżdżały bagaże i walizy kolejowe. Przed biurem informacyjnym przesuwał się długi wąż ludzki. Strogow patrzył na ten wielojęzyczny, różnobarwny tłum i podziwiał niesłychaną organizację, sprężystość i porządek. Zarządzający hotelem wodził wzrokiem po tłumie i badał, czy służba jest dość uprzejma i staranna w ułatwianiu interesantów. Czasem marszczył się z niezadowoleniem, gdy powstał lekki zator publiczności przed oknami portjera.

Strogow podszedł w kierunku kiosku, w którym mieścił się kontor wymiany. Stąd miał doskonały przegląd wchodzących. Z niecierpliwością spoglądał na szklane drzwi wahadłowe, to znowu na zegarek.

— Wpół do dziewiątej, — powtarzał mocno zniecierpliwiony i nerwowo zaczął spacerować wzdłuż kiosku. Nagle twarz jego rozjaśniła się. W szklannym kołowrocie zobaczył wysoką, zgrabną postać pokojówki baronowej Teitelberg. Zręcznie przesliznął się przez tłum i niespodzianie zagroził jej drogę.

— Pani baronowa tu? — spytała Lotti, zmieszana na widok Strogowa.

— Tak, tu.

— Ale dlaczego przeprowadziła się do hotelu Adlon?...

— Zaraz ci to wytłumaczę, jeśli jesteś ciekawa. Uciekła przed tobą i twoimi współnikami, — odpowiedział Strogow przez zaciśnięte pasją zęby i wpił w dziewczynę ostry, zimny wzrok.

Cofnęła się krok wtył przerażona.

— Przede mną i przed moimi współnikami?...  
— powtórzyła, blednąc.

— Tak, przed waszą szajką.

— Ależ księżę myli się, — mówiła coraz bardziej zmieszana.

— Zobaczysz, czy się myłę! — krzyknął wściekły. — Za chwilę będziesz już w policji...

Stała złamana, nie śmiejąc spojrzeć w oczy księcia. Wreszcie złożyła ręce, jak do modlitwy.

— Księżę, — prosiła, — naprawdę, nie jestem winna. Mnie żal było mojej pani, tylko oni...

— Więc kto? — spytał wściekły.

— Oni.

— Ile wzięliście razem?

— Dziesięć tysięcy. Dziś jednak mieliśmy otrzymać resztę.

— Ty?

— Nie, nie ja, — mówiła, slaniając się z przerażenia na nogach.

— Więc kto?

— Hauner.

Strogow zaśmiał się tak nieswoim głosem, że cofnęła się wtył zalekniona. Przysunął się jednak bliżej ku niej, jakby prężył się do skoku. Na jego twarzy malowała się zawziętość i gniew. Dziewczyna uczyniła ruch, jakby chciała uciekać. Chwycił ją za rękę z taką siłą, że na jej twarzy odmalował się ból.

— Haunerowi wypłacą już honorarjum na tamtym świecie, — cedził Strogow przez zęby — ale tobie jeszcze tu wypłacą na Moabiten...

Dziewczyna czuła, że Strogow wie wszystko i że jest osaczona. Oglądała się z przerażeniem na tłum publiczności, przekonana, że kręcą się w nim agenci policyjni, którzy lada chwila wtrącają ją do więzienia. Była tak zaskoczona, że nie mogła skoncentrować myśli, wolała uderzyć w pokorę:

— Księżę, — prosiła — proszę mi pozwolić trochę ochłónąć... Ja wszystko wytłumaczę... Nie ja ponoszę winę... Zostałam wciągnięta w pułapkę. Kazano mi to wszystko zrobić... Powiem całą prawdę.

Strogow postanowił skorzystać ze swej chwilowej przewagi, wiedział bowiem, że za chwilę, gdy dziewczyna ochłonie, sprawa może być już przegrana. Postanowił kuć żelazo póki gorące. Zwolnił nieco uścisk swej ręki.

— Słuchaj, Lotti, — groził Strogow. — Gdy tylko zechcę, pochwycą cię agenci policji. Wszystko jest przygotowane. Nie chcę jednak łamać tobie życia. Zależy mi raczej na twoich wspólnikach. Wymień ich nazwisko...

— Najpierw Hauner namówił mnie do wszystkiego, — przyznała zmienionym z przerażenia głosem.

— A potem?

— Potem moja ciotka i...

— I?...

— Mój narzeczony Walter Kerz.

— Dobrze. A teraz chodź ze mną.

Zaprowadził ją do czytelnicy, kazał jej usiąść przy biurku. Spełniała jego rozkazy jak automat. Chłopak hotelowy przyniósł papier listowy.

— Napisz na kopercie adres ciotki! — rozkazał Strogow.

Chwyliła obsadkę pióra, starała się pisać, ale pióro wyleciało z jej drżących palców.

— Pisz! — rozkazał ponownie.

Napisała adres.

— A teraz napisz do ciotki list z zawiadomieniem, że o wszystkim wiem, i że sama udzieliłaś mi informacji.

— Boję się...

— Słuchaj, Lotti, nie przeciągaj struny. Za chwilę może być już zapóźno...

Pochyliła głowę, drżącą ręką skreśliła kilka słów na papierze.

Strogow patrzył w jej twarz i zauważył ze spokojem, że barwa jej policzków niewiele różni się od białego papieru. Gdy skończyła pisać, wziął list, włożył go starannie do koperty i schował do kieszeni.

— A teraz idź do portjera, otrzymasz klucz od pokoju nr. 117. Baronową obudzisz dopiero za godzinę. A nie zapomnij po drodze, że najmniejsze przekroczenie, a zmienisz ten lokal na celę więzienną...

Dziewczyna wstała z krzesła i wyszła przygnębiona z czytelnicy. Strogow wyminął ją w hallu i wybiegł na ulicę.

— I taką gęś wciągnęli do spółki... — mruknął sam do siebie. Potem zawołał taxi.

— Do Stralau! — rozkazał krótko szoferowi.

Lotti stała chwilę bezradna w hallu, patrząc w szklany kołowrót, za którym znikł Strogow. Potem wolno przeszła do okienka portjera, gdzie otrzymała klucz od apartamentów baronowej. Szła po schodach, słaniając się z osłabienia i niedawnej emocji. Miała wrażenie, że krew spłynęła jej z głowy do nóg. Cicho otworzyła drzwi pokoju swej pani.

W olbrzymich falach białej pościeli spała spokojnie baronowa Teitelberg. Koronkowy czepek odsunął się nieco z jej czoła i wyzwolił kilka jasnych kosmyków włosów. Na twarzy śpiącej malował się wyraz szczęścia. Małe usta rozchyliły się w delikatnym uśmiechu.

— Wie o wszystkim, czy nie wie? — pytała sama siebie zalekciona dziewczyna.

Nagle baronowa Teitelberg otworzyła oczy i uśmiechnęła się do pokojówki.

— Ach, jak dobrze, Lotti, że przyszaś, — powiedziała zadowolona.

Pokojówka jednak skierowała wzrok na dywan. Nie śmiała spojrzeć w oczy swojej pani.

\*

\*

\*



## VII.

### WYNIKI ŚLEDZTWA.

Kończyły się uroczystości pogrzebowe. Kończyły publiczności wypełniał szczerze kaplicę krematorjum, rozlewał się w przedsionku, i stał na ulicy. Przed ołtarzem umieszczona była czarna, oksydowana trumna z wielkim, ozdobnym krucyfiksem.

— Po życiu pełnem znoju, pozwolił ludziom Miłosierny Bóg odpocząć, — przemawiał tenorowym głosem pastor. — Więc i ty po życiu pełnem trudów i zasług odchodzisz na spoczynek...

Przed ołtarzem w gęstych czarnych woalach stały dwie kobiety równe wzrostem: panna Erika i pani Luiza Teitelberg. Córka podtrzymywała matkę za rękę.

Gdy pastor kończył przemówienie, radca Blindow ślizgał się wzrokiem po twarzach gości pogrzebowych. Nagle uczuł dziwne ciepło na policzku. Z niecierpliwością obejrzał się kilka razy po publiczności, jakby szukając przyczyn

tego zjawiska. Nagle ciepło zdawało się schodzić z policzka i przenosić się na jego czoło. Jeszcze raz powiódł nerwowo wzrokiem dookoła. Wkońcu odkrył przyczynę swego niepokoju: O kilka kroków od niego stał książę Strogow i patrzył mu uprzejmie w twarz. Siwe oczy księcia miały w sobie siłę jakby reflektorów. Blindow przesunął rękę po twarzy, aby usunąć niemiłe wrażenie.

— Albo ma oczy hipnotyzera, albo poskramiacza dzikich zwierząt, — mruknął niezadowolony do siebie.

Strogow skłonił się lekko radcy policji. Blindow odpowiedział na ukłon, potem wysunął się z tłumu i wyszedł na ulicę. Chwilę stał wśród publiczności, jeszcze raz powiódł wzrokiem po obecnych i oddalił się w kierunku swego automobilu. W dużym korowodzie automobilów i pojazdów z trudem wyszukał swoją limuzynę.

— Do prezydium policji! — powiedział krótko szoferowi.

Szofer wydostał się ze zwartej kolumny pojazdów i skierował wóz w kierunku Kronprinzen-ufer.

— Zbrodniarz lubi krążyć koło miejsca przestępstwa, ale nie uczestniczy w pogrzebach swych ofiar... — mruknął Blindow jakąś sentencję pod nosem i zapadł w głęboką zadumę.

Prezydent policji von Hauken oczekiwał z niecierpliwością przybycia Blindowa. Dziś mieli razem opracować komunikat dla prasy w sprawie tajemniczego morderstwa na Grunewaldzie. Od chwili bowiem zamordowania Hau-nera, stała się willa barona Teitelberga niewyczerpanym źródłem sensacji dla pism brukowych. Wiadomość o istnieniu tajemniczej szajki terrorystów, która podjęła się wymordowania wszystkich „rekinów giełdy,” rozszerzała się jak pożar w Berlinie, wznecając coraz większą panikę. Wiadomość tę rozdmuchały przedewszystkiem pisma polujące na sensację z „B. Z. am Mittag“ na czele. Wskazywano nawet niedwuznacznie, kto ma w najbliższej przyszłości paść ofiarą morderców. Należało położyć kres fabrykowaniu potwornych plotek przez urzędowe opublikowanie wiadomości o dotychczasowych wynikach śledztwa. Niestety, materiał, jakim operowała w tej sprawie policja nie był zbyt obszerny. Jedyne ratunek był w Blindowie, który przyrzekł solennie, że porzuci dotychczasową taktykę milczenia i odsłoni nieco rąbek tajemnicy.

I dlatego Hauken ucieszył się bardzo, gdyż woźny zaanonsował radcę policji.

— Prosić, — rozkazał krótko i wyszedł na spotkanie podwładnego.

— Godną pochwały jest pańska punktualność,  
— mówił prezydent z uznaniem, witając starego  
detektywa. — Bije właśnie druga...

— Pozostałość po dawnej szkole... — od-  
powiedział z uśmiechem radca.

— Wraca pan z pogrzebu?

— Tak, smutna uroczystość ma się właśnie  
ku końcowi...

— Przypuszczam, że opis pogrzebu będzie znów  
doskonałą sposobnością dla fabrykantów sensacji.

— Niewątpliwie. Dziś rano zaatakowano  
znów policję. „Germanja“ zarzuca nam brak  
wszelkiej inicjatywy w prowadzeniu śledztwa.  
Twierdzi, że ani na krok nie ruszyliśmy na-  
przód, że zbrodniarz śmieje się z nas w kułak  
i czyha na nową ofiarę.

— To przykre...

— Tem bardziej przykre, że „Germanja“  
ma rację — odpowiedział Blindow.

— Ale jak temu zaradzić?

— Całkiem prosto. Musimy zmienić rolę.  
Teraz my powinniśmy naprędce sfabrykować  
jakąś plotkę i przesłać ją w formie urzędowej do  
pism. Będzie to znakomitym środkiem na nie-  
cierpliwość opinii, — a potem, taki komunikat  
uśpi czujność zbrodniarza, który upewni się,  
że policja kroczy po fałszywej drodze i będzie  
mniej czujny jak dotychczas. Uważam, że na-  
razie jest to jedyny środek...

— Podzielam pańskie zdanie, ale doprawdy chciałbym wiedzieć, jakie są rzeczywiste wyniki śledztwa.

— Niestety bardzo skromne, — powiedział z żalem Blindow. — To co dotychczas wiem, są raczej moje własne domysły i kombinacje, aniżeli pewniki. I tak przekonany jestem, że zbrodnię popełniono na tle politycznem. Baron Teitelberg, jak panu prezydentowi wiadomo, był mocno zaangażowany w „Truście P. Z.“

— Tak pan sądzi? Ale jaka mogła być rola barona w tym związku nawskroś politycznym?

— Zaraz wytłumaczę. „Trust P. Z.“ powstał pod egidą naszego rządu. Nie był on niczem innym, jak tylko sztabem generalnym dla prowadzenia wojny przeciw Polsce. Już same litery, „P. Z.“, to jest „*Polens Zerstörung*“, tłumaczą jaki był cel „Trustu“. Istnienie „Trustu“ utrzymywane było w niesłychanej tajemnicy. Nawet szeregowi, którym polecano poszczególne funkcje, nie zdawali sobie sprawy z celów i całokształtu pracy. „Trust“ założono dlatego, ponieważ sprawa naszych tajnych organizacyj wojskowych nie dała się utrzymać w ścisłej tajemnicy i wywoływała rozliczne protesty w Warszawie, Paryżu i Genewie. Przecież o niczem nie mówiono nad Lemanem, jak tylko o twierdzach niemieckich na granicy Polski. Zdrajca prof. Foerster też nie mało ujawnił

ukrytych planów. Musiano więc porzucić przygotowania, które zbyt wielką wywoływały wrzawę. Wojnę zaczęto przygotowywać w „Truście P. Z.,” którego połowa członków składa się z przedstawicieli naszego rządu, a połowa z naszych uczonych, przemysłowców, chemików, no i finansistów. „Trust P. Z.” można dziś uważać za najlepszą i najbardziej celową organizację do walki z naszym śmiertelnym wrogiem, tem bardziej, że członkami są również nasi rodacy w Polsce, na Pomorzu i w Poznańskim, na Litwie i w Rosji. Uważam, że nieudała przed kilku dniami sprawa wywołania konfliktu polsko-litewskiego i wciągnięcia Rosji do gry była całkowicie zainscenizowana przez „Trust P. Z.” Ofenzywa miała się rozpocząć przed kilku dniami. Rząd kołowieński wywołał nawet za namową Niemców klajpedzkich konflikt z Warszawą. Rosja zaś była przez Niemców całkowicie przygotowana i doskonale uzbrojona. I nagle coś się zepsuło, — gdzieś jakaś mała sprężynka nie dopisała. Litwa przelękała się gry, należało więc w Berlinie szybko wstrzymać wszystkie kroki. Odpowiednie dyspozycje wyszły od naszego rządu. I nagle w tym nagłym momencie powstała konsternacja, nadeszła wiadomość o zamordowaniu niemieckiego króla chemicznego, barona Teitelberga, i o zaginięciu „Walizki P. Z.”

Co w niej było, wiedział tylko Teitelberg, ale ten wziął tajemnicę do grobu, — wiedział również ten, który walizkę ukradł. Na szczęście zbrodniarz nie posiada jeszcze całej tajemnicy. Czegoś mu jeszcze brakuje w rozwiązaniu zagadki, ale czego, — oczywiście nie wiem. I morderca dlatego krąży ustawicznie koło willi Teitelberga. I to uprawnia mnie do przypuszczeń, że tak walizka jak i zbrodniarz są jeszcze w Berlinie. Czy dziś jednak stąd nie znikną, nie wiadomo.

— A Hauner?

— Ach, z Haunerem inna sprawa. Ten padł ofiarą swojej chciwości. Zakradł się przy pomocy swego klucza do gabinetu Teitelberga, poto jedynie, aby skraść pieniądze z kasy. Nie spodziewał się jednak, że spotka się tam z tajemniczym zbrodniarzem, który w innych celach wszedł do gabinetu. Gdy Hauner odrywał taflę w kasie pancernej i wyjmował pieniądze, wówczas tajemniczy zbrodniarz zaszedł go z tyłu i ostrym sztyletem pchnął go w tętnicę. Tragedja rozegrała się w cztery oczy w zamkniętym pokoju i to tak cicho, że domownicy słyszeli tylko szmer, który tłumaczyli sobie niedorzecznymi plotkami o krążeniu ducha barona Teitelberga. Przypuszczam, że Hauner został zamordowany jedynie tylko dlatego, że tajemniczy osobnik sądził, że kon-

kurent jego zamierza z kasy wykraść tę samą rzecz, na której i jemu zależało. Tyle o zamordowaniu Haunera. Uważam jednak, że tajemniczy zbrodniarz musi mieć nietylko znakomite nerwy, ale równocześnie unika przelewu krwi. Gdyby to był zwykły morderca, a zależało mu na „Walizce P. Z.,” to niewątpliwie byłby wyczekał, aż baron Teitelberg wyjmie ją z kasy i wręczy ją Kannerowi. Wtedy mógł dwoma strzałami położyć trupem i Teitelberga i Kannera i zniknąć z walizką, ale nie, wolał zabić jednego niż dwu ludzi.

— Przyznam panu, — powiedział prezydent Hauken, — że pańska koncepcja sposobu popełnienia zbrodni przemawia mi silniej do przekonania, aniżeli ta, którą przedstawił pański kolega. W myśl bowiem naszej umowy komisarz Fernberg oficjalnie prowadzi śledztwo. Ale widzę równocześnie, że nie posunęliśmy się zbyt naprzód, jeśli dotychczas wiemy tylko jak popełniono zbrodnię, a nie wiemy kto ją popełnił...

— Czy pan prezydent uważa, że zbyt przeciągam śledztwo?... Dziś w nocy upłynęło dopiero trzy dni od chwili morderstwa...

— Jest pan zbyt wrażliwy, panie radco. Jako prezydent policji nie mogę być oczywiście zadowolony, że zbrodniarz znajduje się na wolności. Niech pan zrozumie moją sy-



tuację, jako szefa bezpieczeństwa. Choćby w godzinę po popełnieniu przestępstwa zbrodniarz został schwytany, — z obowiązku muszę być niezadowolony, że nie nastąpiło to jeszcze wcześniej... Chyba pan mnie rozumie... Równocześnie jednak przyznaję, że sprawa jest trudna i że nikt nie potrafi rozgryźć tego twardego orzecha z wyjątkiem pana... Najfatalniejszy dla mnie jest nacisk ministerstwa spraw zagranicznych. Niema dnia, — co mówię, — niema godziny, aby nie telefonowano tu z zapytaniem, czy walizka odnaleziona i czy zbrodniarz już jest pod kluczem.

— Nie można się dziwić, panie prezydencie, — powiedział detektyw z gorzkim uśmiechem. — Gdyby zbrodniarz zdołał przewieźć walizkę po za nasze granice i odkryć tajemnice „Trustu“, to państwo niemieckie byłoby sromotnie skompromitowane. W stu wodach nie obmylibyśmy się przed opinią europejską... Zdenerwowanie panów z ministerstwa spraw zagranicznych jest zupełnie zrozumiałe, tem bardziej, że i panów tych można będzie winić...

— Co pan przez to rozumie?

— Samobójstwo dr. Rauburga.

— Cóż samobójstwo to ma wspólnego ze zbrodnią na Grunewaldzie?

— Och ma i to bardzo wiele. Ale niech pan prezydent nie pyta mnie o szczegóły.

Może myślę się, a nie chciałbym jakiegoś niesłusznego podejrzenia rzucić na tego w gruncie rzeczy porządnego człowieka....

— Nie będę nalegał, ale może przynajmniej ogólnikowo powie mi pan jak wytłumaczyć to samobójstwo?

— Dr. Rauburg nie miał czystego sumienia, —to pewne. Z ramienia rządu zasiadał w „Truście P. Z.“ i tam gdzieś powinęła mu się noga. Gdy kilka dni temu zapytałem go w tym gabinecie o „Trust P. Z.“, to biedakowi zdawało się, że ja znam jego tajemnicę. To przeraziło go tak dalece, iż popełnił samobójstwo w obawie przed konsekwencjami... Niestety, wymierzyl sobie sprawiedliwość trochę przedwcześnie, bo ja wtedy jeszcze nie miałem pojęcia o sprawie. Gdyby Rauburg dziś żył, to zbrodniarz dawno byłby unieszkodliwiony... A tak...

— Panie radco, — przerwał prezydent policji, — czy wierzy pan w pomyslny wynik śledztwa?

Blindow zachnął się niemile dotknięty.

— Nie wolno mi nie wierzyć. Jestem, panie prezydencie, nie tylko urzędnikiem policyjnym, ale i patriotą niemieckim. Zdaję sobie dokładnie sprawę z tego, jak wielki obowiązek na mnie ciąży. Gdyby sparaliżowanie planów zbrodniarza wymagało mego życia, nie wahałbym się oddać tych parę lat starczego bytowania...

Na twarzy starego detektywa wystąpiły rumieńce, w oczach zapaliły się blaski uporu i zaciętości. Ale trwało to tylko chwilę, bo wkrótce radca policji pochylił się w fotelu, a słowa jego nie brzmiały już tak silnie i przekonywująco.

— Ale przeciwnik jest silny... — mówił Blindow wolno, jakby dopowiadał coś do swych myśli. — Należy on do typu t. zw. „niewidzialnych“, którzy jak jakaś abstrakcja nie zostawiają śladów po sobie. Cóż mi z tego, że mam pomiary jego ręki i stóp, gdy na nich polegać nie mogę, bo ręce i stopy zasłonięte miał skórą i filcem? Nawet psa policyjnego nie mogłem użyć, bo zbrodniarz odjechał autobilem. Wszystko nieuchwytnie... Każdy mój atak uderza w próżnię... Początkowo łudziłem się, że zamordowany Hauner za wielką sumę podjął się dostarczenia walizki, ale przypuszczenia moje okazały się błędne. Tropienie Haunera przeszkodziło jednak innej zbrodni, zwykłemu oszustwu, które Hauner chciał popełnić na mocy podrobionych podpisów i pieczętek Teitelberga. Zanim jednak udało mi się Haunera aresztować, tajemniczy zbrodniarz sam sprzątnął go ze świata... Przez dwa dni stali Kanner, służący Teitelberga, szofer i cała służba w krzyżowym ogniu pytań policyjnych. Wyszli z nich jednak zwycięsko i dziś nie

wątpię, że nie wiedzieli nic o zbrodni. Z osób, które były na arenie, pozostaje baronowa, jej córka i Strogow, — panie były jednak w operze, a ksiązę Dymitr Wasylewicz Strogow, — w Paryżu. Badałem w urzędzie paszportowym i przekonałem się, że na kilka dni przed morderstwem podjął paszport i załatwiał w stolicy Francji szereg swoich spraw prywatnych. Tak dalece byłem skrupulatny, że zbadałem przez zaufanych, iż w dniu morderstwa mieszkał Strogow w hotelu „Majestic.“ Ksiązę Strogow ma na sumieniu zbrodnię, ale inną...

— Jaką?

— Zbrodnię wobec Teitelberga, — a wielką zasługę wobec jego żony... — odpowiedział z uśmiechem detektyw.

Prezydent policji schylił głowę na znak, że domyśla się rodzaju przestępstwa, i wtrącił dyskretnie:

— Niestety, ustawa karze tę zbrodnię tylko na żądanie pokrzywdzonego małżonka...

— Więc widzi pan prezydent, — ciągnął dalej Blindow, — że wszystko się rwie, ani jednego uchwytneho punktu, chyba ten telegram...

— Jaki telegram?

— Zapomniałem pana poinformować, że rano, w kilka godzin po zbrodni, kazałem agentom przeprowadzić dochodzenia we wszystkich

osiemnastu urzędach telegraficznych, które tej nocy miały dyżur. Z urzędu pocztowego na Reinstrasse przyniesiono mi odpis depeszy wysłanej w dwie godziny po morderstwie do Warszawy, której treść brzmi dość tajemniczo, oto kopja tego telegramu...

Blindow wyjął z pugilaresu czerwony blankiet telegraficzny i podał go swemu szefowi.

Hauken czytał: „Łubieński, — Warszawa, Daniłowiczowska 5. Panów z ulicy Wspólnej ubezpieczyć, — jeszcze nie mogę wyjechać z Berlina, — Polasekuracja.“ Hauken zwrócił depeszę radcy policji i spytał:

— Dlaczego sądzi pan, że depesza ta ma związek ze sprawą morderstwa na Grunewaldzie?

— Firma „Wrończyk i Laube“, która miała otrzymać tajemniczą walizkę, mieściła się przy ulicy Wspólnej w Warszawie. Niewątpliwie więc słowa „ubezpieczenie panów ze Wspólnej“, znaczą rozkaz przewiezienia Wrończyka i Laubego i ich wspólników do więzienia. Wczoraj jeszcze wysłałem w tej sprawie zapytanie do Warszawy. I oczekuję dziś odpowiedzi. Skrócone zaś słowo „Polasekuracja“ każe domyślać się, że działa tu albo ambasador polski, albo jego pionki... Depeszę tę nadał jakiś człowiek bardzo elegancko ubrany i niskiego wzrostu.

— Chyba nie wierzy pan w to, by móc odnaleźć nadawcę tej tajemniczej depeszy w tak wielkiem mrowisku ludzkim jak Berlin? — przerwał opryskliwie Hauken.

— Możliwe, że go nie odnajdę. Pozostaje mi jednak jeszcze inna szersza nieco ścieżka. I dlatego nie aresztuję ani pokojówki baronowej Teitelberg, ani jej narzeczonego Kerza, ani jej ciotki, choć uważam, że trójka ta ma tyle na sumieniu, iż oddawna powinna rozpamiętywać swoje winy w celi więziennej. Uważam jednak, że zbrodniarz, albo jego współnicy prędzej, czy później znajdą się w gronie tej szanownej trójki. Potrzebne mi więc jest, aby jeszcze jakiś czas byli na wolności... Tak mniej więcej, panie prezydencie, przedstawia się sprawa naszego śledztwa. Ale teraz pora skomponować komunikat dla prasy...

Hauken przysunął blok białego papieru i ołówkiem zaczął kreślić na nim kilka słów. Nagle Blindow przerwał mu tę czynność:

— Zapomniałem pana prezydenta poinformować o jeszcze jednej rzeczy, która niewątpliwie sprawi panu niemałą przyjemność.

Równocześnie radca policji sięgnął do portfela, w którym tak starannie przechowywał kopję tajemniczego telegramu, i wyjął z niego kilka fotografii, które wręczył swemu szefowi.

— Fotografje jakiejś walizki... — mruknął zdziwiony Hauken.

— Tak, tej samej walizki, której tak mozolnie poszukujemy...

— Cóż nam z tego, że zamiast walizki posiadamy fotografję?

— Pan prezydent widocznie nie docenia znaczenia tego zdjęcia. Najpierw jutro kliszę z tej fotografji musimy przesłać do pism i zawiadomić, że walizkę zdołaliśmy wyrwać już z rąk przestępców. Zrozumie chyba pan prezydent, co za tę cenę nabywamy. Przedewszystkiem spokój na kilka dni. Opinja publiczna uwierzy, że jeśli mamy walizkę, to niedaleko być musimy i od osoby mordercy. Kilkudniowy spokój zaś zapewni nam możność intensywniejszej pracy. A w tych dniach tak bardzo potrzebuje spokoju i skupienia...

— Ale czy fotografja zgadza się przynajmniej z wyglądem walizki?

— Bliźniaczo są podobne. Sprawa tej walizki była niezwykle skomplikowana, a jak do niej doszedłem, zaraz opowiem. Wczoraj udało mi się, mianowicie na mocy ogłoszenia w „Lokal-Anzeiger“, odnaleźć rymarza, który z polecenia barona wykonał tajemniczą walizkę. Niewątpliwie zainteresuje pana bardzo historia jej powstania. Otóż rymarz oświadczył, że przed miesiącem baron Teitelberg wezwał go do siebie

i kazał mu przynieść kilka arkuszy takiej samej papierowej masy z jakiej wyrabia walizki. Rymarz spełnił polecenie, wówczas Geheimrat kazał mu arkusze to pozostawić u siebie i zgłosić się po nie po kilku dniach. Po tygodniu, gdy rymarz zgłosił się, otrzymał od Geheimrata rozkaz wykonania walizki z tych arkuszy, ale nie u siebie w warsztacie, ale w willi barona Teitelberga. Rymarz zgodził się i automobilem barona przywiózł potrzebne do tego narzędzia na Grunewald. Następnie baron sam ponumerował czerwonym ołówkiem arkusze i polecił nalepiać je wedle kolejności. Jeden grzbiet walizki miał składać się z arkuszy od liczby jeden do trzy, drugi z pięciu innych od liczby siedem do osiem. Następnie wręczył Teitelberg rzemieślnikowi specjalny klej i tym tylko klejem wolno mu było posługiwać się. Dla ochrony otrzymał rymarz od Geheimrata specjalne rękawice i maskę na twarz. Praca trwała blisko siedem dni, bo dziwny klej powoli wysychał, a potem przeszkadzały rzemieślnikowi w pracy rękawiczki, niezwykle grube i sztywne. Za ledwie rzemieślnik przystąpił do pracy, zauważył, że arkusze, które przed tygodniem zostawił, dziwnie zmieniły barwę i spęczniały. Nie przywiązywał jednak do tego zbytnej wagi i przystąpił do pracy. Jeszcze bardziej tajemniczo wygląda sprawa walizki, jeśli dodam, że Ge-



heimrat codziennie po ukończonej pracy kazał walizkę chować do jednej z przedziałek swojej olbrzymiej kasy ogniotrwałej i starannie ją zamykał. Gdy rymarz opisał mi dokładnie wymiary walizki, formę i barwę, kazałem mu wykonać identyczną kopję. Z kopji tej zrobiłem to właśnie zdjęcie. Zauważy pan prezydent z pewnością oryginalne wydəcia na bokach...

— Doprawdy, tajemnicza sprawa, — mruknął Hauken. — Cóż ta walizka mogła zawierać, że z taką ostrożnością ją wykonywano...

— Znowu, panie prezydencie, tylko moje supozycje. Przypuszczam, że arkusze, które Geheimrat kazał pozostawić u siebie, przesycono w ciągu tygodnia jakimś tajemniczym płynem. Klej czy guma, któremi miały być arkusze spojone, były również tajemniczą chemikalją, znaną tylko Teitelbergowi. Dotykanie palcami tych chemikalij, czy ich wdechiwanie, musiało być zabójcze dla zdrowia, jeśli Geheimrat pozwolił pracę tę wykonywać tylko w specjalnie spreparowanych rękawiczkach i masce. W tem przekonaniu utwierdza mnie jeszcze i ten fakt, że rymarz oświadczył mi, że od czasu wykonania tej walizki, czuje się chory i obawia się, czy nie uległ jakiemu tajemniczemu zatruciu. Odnalezienie tej walizki uważam za sprawę tak ważną, że gdyby pozostawiono mi do wyboru, czy schwytać zbrodniarza, czy odnaleźć

walizkę, bez namysłu rozstrzygnąłbym sprawę na korzyść walizki. I nie wątpię, że moje zdanie podzieliłoby i ministerstwo spraw zagranicznych.

Sprawa walizki zaintrygowała silnie prezydenta Haukena, bo umilkł i w głębokim zamysleniu schylił głowę. Słowa detektywa wykazały mu jasno, że w walizce musiał się znajdować jakiś ważny chemiczny preparat, który był okową tego łańcucha, którym Trust P. Z. starał się zdusić swego odwiecznego wroga: *Polskę*. Musiała być to straszliwa broń, jeśli Teitelberg z tak wielkimi ostrożnościami starał się ją przemyścić do Warszawy. Teraz prezydentowi policji wydawało się zrozumiałe, że zbrodniarz musiał znać tajemnicę i nie wahał się dla niej uśmiercić Geheimrata, aby wytrącić mu jego tajemniczą broń z ręki. Sprawa nabierała teraz pierwszorzędnej wagi.

Myśli Blindowa nie musiały być również wesołe. I on zastanawiał się nad tem, jakie konsekwencje czekają kraj, jeśli zbrodniarz zużytkuje wynalazek Teitelberga. Gdyby przynajmniej zamordowany miał współników, którzy równie dobrze jak Geheimrat byliby poinformowani o znaczeniu chemicznych substancyj i umieli im przeciwdziałać... Cóż z tego, kiedy potentat nie dowierzał nikomu. Zamknął swoją tajemnicę w grobie. Ale w jaki sposób zbrod-

niarz mógł się dobrać do tej najbardziej ukrytej tajemnicy Geheimrata? — dziwił się Blindow, a równocześnie w jego duszy budził się dziwny lęk na myśl o człowieku, który jest tak silny, że jednym pchnięciem potrafi unicestwić plany zaciętych i potężnych wrogów...

— Kto to jest? — myślał stary detektyw i na to pytanie nie znalazł odpowiedzi. A postać tajemniczego zbrodniarza wydawała mu się tak potężna, że wobec niego otoczenie baronowej można było porównać tylko do bezsilnych dzieci...

Długo trwało przygnębiające milczenie w gabinecie prezydenta policji. Przerwał je wkońcu stary detektyw:

— Szybko muszę uderzyć... — powiedział cicho, jakby budził się ze snu.

Hauken spojrzał pytająco na drobną, silnie pooraną zmarszczkami twarz swego podwładnego.

— Co pan powiedział?

— Powiedziałem, że szybko muszę uderzyć, — mówił już spokojnie i z głębokim namysłem Blindow. — Dalsza niepewność stwarza zbyt uciążliwą atmosferę. Nie możemy żyć pod ustawicznym terorem tego człowieka... Może raczej szybkim pociągnięciem uda mi się ogłuszyć go i unieszkodliwić, aniżeli powoli za-

cieśniać pętle na jego szyi. Zmienię plany...  
Pójdę po nowej ścieżce, ale jeśli i ta zawiedzie...

— To co?

— To wpadnę w przepaść, — powiedział z rezygnacją stary detektyw. Potem poruszył się nerwowo i spojrzął na zegarek. — Ale już czas, abyśmy przystąpili do sfabrykowania tego nieszczęsnego komunikatu — przypomniał stary rzecz chłodnym głosem.

Hauken wziął pióro do ręki i pochylił się nad biurkiem. Blindow dyktował najważniejsze punkty przebiegu śledztwa, które bez szkody dla sprawy mogły być podane do publicznej wiadomości.

— Więc zgadza się pan prezydent na to, że puścimy bajkę o znalezieniu walizki?

— Zgadzam się. Trudno, nie mamy innego wyjścia...

\*

\*

\*

## VIII.

### WALK A.

Z nabrzmiałych wilgocią chmur, które przypominały brudne, płócienne wiszary spływały miarowo gęste krople deszczu przetykane białą nitką śniegu. Zdawało się, że ten niesłabnący od kilku dni deszcz, wsiąka w asfalt, w domy i drzewa, rozmięcza je i wydyma. Kontury każdego przedmiotu były jakby opuchłe i nabrzmiałe od wilgoci. Ponure światło dnia jesiennego cofało się coraz bardziej przed nocą.

Przez Spandauerstrasse ku jezioru Diany szło szybko dwóch mężczyzn w płóciennych, impregnowanych płaszczach z silnie nasuniętymi na twarz kapturami. Twarde, nieforemne ich buty nie omijały kałuż ulicznych. Szli szybkim krokiem, uciekając przed zapadającym coraz silniej zmierzchem.

— Gdyby tak był miesiąc maj, inaczej szłoby się przez Grunewald... — mruknął jeden z nich z pod mokrego kaptura.

— Cały rok nie może być wiosna, — odpowiedział filozoficznie drugi.

Za chwilę, wyższy wzrostem przystanął i rozglądał się wokoło.

— Czy idzie pan na wycieczkę, czy za interesem? — mruknął niższy wzrostem człowiek niezadowolony widocznie z zachowania towarzysza.

— Muszę przecież rozejrzeć się, gdzie jesteśmy...

— Jeszcze dziesięć minut do alei Bismarcka, a potem kilkadziesiąt kroków na lewo. Jeszcze spory kawał i porządnie zmokniemy.

— Trudno... A był pan tam kiedy?

— Byłem. Wtedy jak wynosili zwłoki tego młodego człowieka.

— Haunera?

— Możliwe, że Haunera.

— Uu, to był rzeczywiście mistrzowski trick.

— Ii, co za mistrzowski, — rzucił wzgardliwie wysoki człowiek.

— No zobaczymy, czy dzisiaj będzie pan również tak chłodny i odważny.

— Gwarantuję, że nie będę się gorączkował...

— Tem lepiej. A ja otwarcie przyznam, że drzę z niecierpliwości. Chciałbym być już tam... Ale ten przekłety wieczór nie zapada. Jeszcze zbyt jasno...

— Nim dojdziemy do alei Bismarcka będzie ciemno.

— Ilu ich tam czeka?

— Pięciu z Kaftalem i Haucisenem...

— Wiedzą poco idą?

— Wątpię. Co im zresztą do tego. Porozstawia się ich i koniec. Wystarczy, że my znamy rozkład domu.

— Jaki jest sygnał?

— Zobaczy pan przy alei Bismarcka, ale sądzę, że powinniśmy zwolnić kroku, bo za szybko idziemy, a czasu chyba dość.

Zwolnili kroku, szli milcząco, uderzając miarowo grubemi podeszwami w kamienny chodnik.

Gdy doszli do alei Bismarcka, ściemniło się zupełnie. W mgle deszczu pełgały już gdzieś niedługo nagle światła latarni ulicznych. Na rogu ulicy, człowiek niższy wzrostem przystanął i uchylił nieco kaptura, z którego spłynęły naraz strugi zimnej wody deszczowej.

— Ależ tu nikogo niema... — powiedział cicho, jakby tłumiąc pasję.

Towarzysz zaśmiał się cicho, zwinął język w rurkę i wydał cichy, ale przejmujący świst.

We wnękach domów poruszyły się jakieś cienie.

— A co są? — spytał triumfująco.

— Doskonale.

— Czy zawołać ich?

— Niepotrzebne. Pan zostanie tutaj, a ja pójdę kilkanaście kroków dalej popatrzeć na miejsce, na którym mamy stoczyć rozstrzygającą walkę.

Rozstali się. Wyższy wzrostem schronił się do wnęki najbliższego domu, a jego towarzysz poszedł w kierunku białej barokowej willi.

Mimo silnych strug deszczu, człowiek w impregnowanym płaszczu obchodził wolno, krok za krokiem, posiadłość barona Teitelberga, badając z niezwykłą starannością od strony ulicy żelazne sztachety ogrodu. Potem wolno wszedł na Edengasse i z tej perspektywy wpatrywał się w mały park willi.

Biały, barokowy pałacyk pogrążony był w zupełnej ciemności, jedynie od strony ogrodu paliło się w oknie parterowym światło tłumione nagiemi konarami i gałęziami drzew.

— To Johann czuwa, — pomyślał nieznajomy i wszedł głębiej w Edengasse. Stanął przy latarni, wydobyl z kieszeni kawałek białego papieru i starannie chroniąc go przed zamoknięciem, długo wpatrywał się w białą kartkę, potem w sztachety, jakby starał się sprawdzić dokładność jakiegoś planu sytuacyjnego.

— Doskonale, — mruknął wreszcie sam do siebie i szybkim krokiem skierował się w aleję Bismarcka, gdzie oczekiwał go towarzysz.



— Wszystko już wiem, — powiedział nerwowo. — Musimy za chwilę wyjść stąd i przedostać się do ogrodu.

— A niema nikogo w willi? — spytał wysoki człowiek.

— Jest służący. Światło świeci się tylko w jednym oknie, czyli w pokojach służbowych. Pokój ten jest dość daleko położony od klatki schodowej. Niema mowy, aby służący usłyszał jakikolwiek szmer. Ale teraz niech pan da sygnał ludziom.

Rozległ się trzykrotny, cichy, urywany gwizd. Z narożników i wnęk domów wysunęło się kilka cieni ludzkich i szybko zbliżyły się ku nim.

— Dlaczego idą razem? — warknął nieznajomy. — Mówilem, że trzeba zachować największą ostrożność.

Gdy pięciu ludzi zrównało się z nimi, nieznajomy odsunął kaptur z głowy i ruchem ręki kazał zbliżyć się wszystkim do siebie, następnie cicho zaczął wydawać instrukcje:

— Musimy wejść do tej willi... Panowie przeskoczą przez sztachety w miejscu, w którym wskaże wam Glasgier, ja wejdem do wnętrza przez bramę. Każdy z panów musi ukryć się w ogrodzie za drzewem, albo za murem oranżerji lub garażu automobilowego. Papierosów palić nie wolno. Nie wolno również za żadną cenę zejść ze stanowiska, choćby miało się

przemoknąć do nitki. Broń muszą mieć panowie w pogotowiu. Czy macie silne lampy elektryczne?

— Mamy lampy kieszonkowe Klaksberga.

— Doskonale, można więc na dany przeze mnie znak puścić duże języki światła tak, że obejmą cały ogród. Ja będę wewnątrz willi w pokoju na pierwszym piętrze. Panowie muszą wpatrywać się bacznie w trzecie i czwarte okno pierwszego piętra od strony Edengasse. Stamtąd będę dawał sygnały świetlne. Gdy dam przez okno sygnał niebieskim światłem, wtedy panowie oświetlą ogród klaksbergskimi lampami i będą się starali przytrzymać człowieka, który będzie biegł przez ogród i będzie się starał przeskoczyć sztachety. Gdyby na wezwanie nie chciał się zatrzymać, mogą panowie użyć broni. Wolalbym jednak, aby obyło się bez strzelaniny i aby zbrodniarz dostał się zdrów i cały w nasze ręce. Jeśli zaś dam przez okno sygnał czerwony, wtedy dwóch panów podbiegnie ku parterowym oknom, tuż pod pokojem, z którego dają sygnały, a dwóch z Hauseisenem podbiegnie do głównej bramy. Gdyby ktoś chodził po ogrodzie, nie wolno panom pod żadnym warunkiem zatrzymać go bez moich sygnałów. Musimy mu pozwolić spokojnie wejść do willi. Czy zrozumieli mnie panowie?

— Zrozumieliśmy.

— O dalszych szczegółach dowiedzie się na miejscu od pana Glasgiera, który wszystko jeszcze raz panom wytłumaczy. Jeszcze raz zaznaczam, że muszą panowie zachować się spokojnie. Silniejszy oddech, któregoś z was może popsuć całą dzisiejszą wyprawę. A teraz możecie już odejść. Glasgier panów zaprowadzi.

— Rozkaz, panie Blindow, — odpowiedzieli słuźbiście i rozproszyli się na ulicy, idąc oddzielnie.

Na czele szedł olbrzymi Glasgier w impregnowanym płaszczu. Wkrótce dogonił go Hau-eisen, którego kwadratowy kark zlewał się z szerokimi barami, zdradzając niezwykłą siłę.

— Ale ten Blindow mimo sześćdziesiątki zdrów chłop, jeśli w taką pogodę sam uczestniczy w wyprawie, — mruknął z uznaniem atleta.

— Widocznie nie zna go pan dobrze, — mruknął Glasgier. — Mimo sześćdziesiątki, Blindow jest dziś tak silny i elastyczny, że nie zakładałbym się o to, czy nie zdołałby pana rozłożyć...

— Przesada...

— Nie przesada, — odburknął Glasgier. — Gdy raz w przystępie złości, chwycił mnie za rękę, miałem wrażenie, że przytrzymują mnie stalowe kleszcze. Kilka minut nie mogłem ręką ruszyć...

— A wygląda jak zasuszona mumja...

— Chciałbym w tym wieku być tak silny i energiczny, — powiedział z uznaniem olbrzym.

— Ale pan, to czuje do starego dziwną słabość...

— Lubię go. Wygląda wprawdzie zły i spróchniały jak stary grzyb, ale serce ma złote. Zreższą tyle lat pracuję już ze starym... Razem byliśmy ranni przez bandytów w Heinersdorfie... Tam była prawdziwa bitwa... Trzy godziny ostrzeliwaliśmy się tym łotrom... A potem ta straszna walka na klatce schodowej... Takiej bitwy chyba już nie przeżyję... Wyniesiono mnie razem ze starym... No, ale teraz uwaga, zbliżamy się do tej przeklętej willi.

Skręcili w Edengasse. Po chwili cicho zaczęli wspinać się przez sztachety do ogrodu willi. Bez szelestu znikli wśród drzew.

Radca Blindow czekał cierpliwie we wnętrzu domu przy alei Bismarcka, chroniąc się przed strugami deszczu. Co chwila spoglądał na zegarek, przytwierdzony na rzemyczku do ręki, jakby badał, czy Glasgier zdołał już doprowadzić agentów na ich stanowiska.

— Jeśli dzisiejsza wyprawa nie uda się, to wszystko przepadło, — mruknął sam do siebie. — Wtedy jesteśmy zwyciężeni, a podnieść się będzie trudno... Ale u licha wszystko przygotowałem z największą skrupulatnością. Za

godzinę powinien zbrodniarz być w pułapce... Nerwy ma ten łotr stalowe. Ale ze mną walka nie będzie tak łatwa jak z Haunerem...

Upłynęło piętnaście minut, gdy Blindow wysunął się ze swego ukrycia i szedł w kierunku willi barona Teitelberga. Chwilę stał przed bramą i nadśluchiwał, czy z wnętrza nie dojdzie do jego uszu jakiś szmer. Ale w willi panowała niczem niezmacona cisza. Wtedy stary detektyw wyjął z kieszeni klucz, włożył go do zatrzasku, i krótkim, zdecydowanym ruchem pchnął drzwi, trzymając je silnie za klamkę. Dobrze naoliwione zawiasy nie wydały najmniejszego skrzypu. Wtedy Blindow zamknął drzwi za sobą i wszedł do hallu. Willa zdawała się być wymarła. Uderzył go silny zapach zwiędłych kwiatów i zmieszany zaduch kadzidła i spalonego wosku.

Widocznie hall od czasu pogrzebu nie był wietrzony.

Chwilę stał Blindow w progu, nie mogąc zorientować się w ciemnościach, potem powoli kierował się ku klatce schodowej. Obawiał się jakimś drobnym, nieostrożnym ruchem zdradzić swoją obecność. Szczelne jednak parkiety nie wydawały pod naciskiem jego stóp żadnych odgłosów. Po chwili wzrok starego detektywa przyzwyczaił się już do ciemności, tak, że bez pomocy latarki odróżniał dosko-

nale kontury poszczególnych przedmiotów. Ręka detektywa dotknęła wreszcie mosiężnej poręczy schodów. Ostrożnie wspinał się Blindow na pierwsze piętro. Na podeście czuł się swobodniej, coraz bardziej bowiem oddalał się od pokojów służbowych. Wszedł wreszcie w korytarz i skierował się przed drzwi gabinetu barona Teitelberga. Skomplikowany zamek zmusił go do użycia latarki.

— Nie wiem, czy w Berlinie znalazłby się bardziej zręczny złodziej... — pomyślał detektyw z zadowoleniem.

W gabinecie barona Teitelberga panował chłód i pustka. Dawno nie sprzątany pokój wypełniały teraz pokłady kurzu.

Dziwne uczucie owładnęło w tym pokoju starego detektywa. Nerwy jego wibrowały coraz silniej na myśl, że w tym właśnie pokoju rozegrały się dwie tragedje ludzkie, a lada chwila i on rozegra tu walkę na życie i śmierć ze złooczyńcą. Opanował się jednak szybko. Wiedział doskonale, że cała siła i przewaga zbrodniarza nad nim polega właśnie na silnych nerwach i chłodnej orjentacji.

— Muszę dziś dorównać mu w spokoju, — wmawiał sam w siebie, chcąc za wszelką cenę pozbyć się uczucia lęku.

Zaświecił znów latarkę, aby dokładnie zorjentować się, gdzie najlepiej może się ukryć.

Najdogodniejsza kryjówka była tuż obok olbrzymiego biurka Geheimrata. W tem miejscu spływała duża, szeroka firanka z okna na ziemię. Obok niej stał czarny hebanowy postument z białą rzeźbą. Za tą firanką mógł Blindow nie tylko doskonale ukryć się, ale zupełnie swobodnie obserwować obydwaj pokoje.

Ostrożnie wyminął rzeźbę, uchylił firankę i stanął obok okna, starając się sfalować zasłonę, aby ukryć wszelkie ślady swojej bytności.

— Niewątpliwie przestępca zna każdy szczegół w tym pokoju, — pomyślał Blindow — i źle ułożona firanka może zwrócić jego uwagę i spłoszyć go przedwcześnie. Wtedy wszystko przepadło.

W kryjówce swojej czuł się Blindow bezpieczny. Nerwy jego zaczęły się wolno uspakać. Ryzykowna gra zdawała mu się nawet ponętą.

Noc była ciemna, ani jeden promień światła nie przedostawał się przez ciężką zaporę chmur. W willi panowała bezwzględna cisza, tylko krople deszczu uderzały miarowo w szyby wewnętrznych okien.

Blindow stał bez ruchu, jakby zamarł w oczekiwaniu. Cisza jesiennej nocy zaczęła mu jednak coraz bardziej dokuczać. Monotonny szum w uszach stawał się coraz bardziej nie-

znośny, przechodził wolno w ostry dźwięk dzwonka, a potem przemienił się w miarowy huk, jakby rozkołysanych dzwonów.

Stracił zupełnie poczucie czasu. Sekundy i minuty wydawały się mu wiecznością.

— Może rozmyślił się i dziś nie przyjdzie, — myślał stary detektyw i nagle cała ostrożność i przygotowania wydały mu się wręcz śmieszne. — A jednak dzisiejsza noc jest wprost stworzona dla zbrodniczej wyprawy. Można się poruszać jak w czarnej mazi...

Powoli w myślach Blindowa utwierdzał się plan spotkania ze złączyńcą.

— Jeśli zbrodniarz wejdzie do pokoju, — myślał, — należy mu pozostawić zupełną swobodę ruchu. Najpierw bowiem należy wy badać dokładnie, czego właściwie ten człowiek tu szuka... Sam fakt aresztowania nie wyjawia jeszcze tajemnicy. Tak sprytny złączyńca jak ten wytłumaczy niewątpliwie, że włamał się tu w celu popełnienia kradzieży... Wtedy łączność między zamordowanym Teitelbergiem, a jego obecnością w tym gabinecie może być trudną do udowodnienia. Stanowczo trzeba cierpliwie wyczekać, aż zbrodniarz zdradzi się, w jakim celu tu przybył.

Ten plan wydawał się staremu detektywowi najbardziej racjonalnym. Obawiał się tylko,



czy zdoła go w całości wykonać. Do tego potrzebne są stalowe nerwy. — Lepsze niż moje, — myślał.

Oczekiwanie stawało się coraz bardziej dokuczliwe. Brak ruchu i niewygodna pozycja w kącie powodowały ustawiczne cierpięcie nóg i dotkliwy ból w kręgosłupie. Już zamierzał stary detektyw zmienić pozycję, gdy nagle usłyszał lekki szmer. W jednej chwili wstrzymał oddech i zamarł w oczekiwaniu. Szmer powtórzył się po raz drugi nieco już wyraźniej, jakby ktoś ciągnął po podłodze duży kawał zmiętego papieru.

Blindow wyteżył słuch, aby zbadać, skąd ten tajemniczy szmer pochodzi. Szelest wydawał się jednak jeszcze oddalony i tłumiony.

— Wchodzi starą, wydeptaną ścieżką, przez komin... — pomyślał Blindow wstrzymując ciągle oddech.

Nagle ręce starego detektywa zaczęły drżeć nerwowo. Spokój opuszczał go coraz bardziej. Tymczasem szmer stawał się bardziej wyraźny, wreszcie w drugim pokoju rozległ się odgłos cichych kroków. Zbrodniarz zbliżał się w kierunku biurka i kryjówki radcy policji.

Po ciele Blindowa przebiegały zimne dreszcze. Po raz pierwszy stary detektyw czuł lęk w obecności zbrodniarza. Nagle usłyszał szelest firanki koralowej. Zbrodniarz był oddalony

o kilka kroków od niego. Tajemniczy człowiek trzymał w ręce ślepa latarkę, która lekko oświetlała jego postać. Był to niski, szczupły człowiek, ubrany w płócienny kostjum pilota. Przydługie ręce sięgały prawie do kolan. Każdy krok złochnicy zdradzał niepospolitą zręczność i zwinność. Było w nim coś małpiego. Głęboko nacięta czapka zasłaniała bladą, jakby schorowaną twarz.

Zbrodniarz widocznie czuł się bezpieczny, bo śmiało zbliżył się do biurka i przekreślił taster lampy. Z pod głębokiego abażuru padł jasny strumień światła na biurko, pozostawiając resztę pokoju w mroku. Zbrodniarz stał tak blisko Blindowa, że detektyw mógł go dotknąć ręką.

Teraz w świetle lampy Blindow doskonale obserwował tę dziwną twarz. Małe, skośne oczy, głęboko osadzone w czole, silnie wystające kości policzkowe i długie, wąskie usta upodabniały zbrodniarza do typu Azjaty. Blindow patrzył w tę dziwną twarz, jakby starał się wryć każdy jej szczegół w swojej pamięci.

Cisza panowała w pokoju tak bezwzględna, że Blindow słyszał wyraźnie bicie swoich pulsów. Miarowe tykanie zegarka wydało się Blindowowi tak głośne, że obawiał się, iż gdzieś ono do uszu zbrodniarza.

Tymczasem złoczyńca wy dostał z szerokiej kieszeni kilka długich wytrychów i zaczął otwierać niemi szuflady biurka. Skomplikowane zamki nie dawały się łatwo otworzyć i zbrodniarz pracował z olbrzymim wysiłkiem.

Blindow patrzył na jego małe, niezwykle muskularne ręce, na starannie wypielegnowane paznogie.

Wreszcie wytrych zgrzytnął silnie i drzwi bocznej szafki ustąpiły. Zbrodniarz wsłuchiwał się chwilę, czy zbyt silny szelest nie zwrócił uwagi domowników. Ale w całym domu panowała bezwzględna cisza. Teraz tajemniczy człowiek z niezwykłą zręcznością wysuwał jedną szufladę po drugiej i wydobywał z nich całe stosy zapisanego papieru. Co chwila wyciągał jakąś kartkę papieru, zbliżał ją do lampy i odczytywał jej treść.

Poszukiwania zdawały się jednak być dość długo bezowocne, bo na twarzy zbrodniarza malowała się coraz większa niecierpliwość i zdenewrowanie.

Nagle w jego skośnych oczach zajaśniały błyski jakby radości. W misternie rzeźbionych drzwiczkach spostrzegł mały, czarny guzik, który zdawał się być częścią nalepionej ornamentacji. Lekko dotnął palcem guzika. Fornir odskoczył. Zbrodniarz uchylił skrytkę i wydobył z niej wielką, podłużną kopertę. Szybko

przysunął ją do lampy. Na grzbiecie koperty widniał wyraźnie kaligraficznie wypisany adres: „Laube & Wronczyk, — Warszawa.“

Twarz zbrodniarza jaśniała radością. Rzecz, której z takim trudem i niebezpieczeństwem poszukiwał, była już w jego rękach. Skwapliwie schował kopertę do kieszeni i starał się przytrzasnąć skrytkę.

Blindow zrozumiał, że nadszedł decydujący moment działania. Każda chwila zwłoki groziła teraz niebezpieczeństwem. Zbrodniarz mógł zniknąć wraz z cenną zdobyczą. Dlatego stary detektyw skupił się w sobie, jakby prężył się do skoku, czekał tylko na najdogodniejszą sekundę.

Zbrodniarz zamknął biurko i zbliżył się o krok do ciężkiej portjery. Blindow mógł go dotknąć ręką, — wtedy jednym, zdecydowanym ruchem detektyw wyskoczył ze swego ukrycia i żelaznym uściskiem ramion oplótł szczupłą postać swego przeciwnika, równocześnie potrącając słup z rzeźbą. Biały marmur upadł na dywan, wyrywając swoim ciężarem sznur z kontaktem elektrycznym ze ściany.

Ciemność wypełniła pokój.

Wśród straszliwej ciszy słychać było tylko szybki oddech dwóch zmagających się ze sobą ludzi. Blindow zacieśniał coraz bardziej uścisk. Nagle uczuł, że ciało zbrodniarza wiotczeje, jak ciało kota, który stara się przedostać przez

wąską szczelinę. Mimo silnego uścisku ramion tajemniczy człowiek zdołał zmienić pozycję. Blindow czuł teraz jego gorący oddech na swojej twarzy...

Zbrodniarz wysunął rękę z opłotu stalowych ramion detektywa, wy dobył długi wąski nóż z kieszeni. Błyszczące ostrze sztyletu oparło się o szyję detektywa. Im silniej Blindow zaciskał uścisk, tem sztylet silniej nakłuwał skórę jego szyi. Detektyw zrozumiał niebezpieczeństwo. Nagłym ruchem rozwarł ramiona i zamierzał sięgnąć do kieszeni. Wtedy zbrodniarz chwycił jego rękę i z jakąś nieludzką siłą wykręcił ją w tył, poza jego plecy. Równocześnie Blindow uczuł straszne uderzenia jakimś twardym przedmiotem w twarz. Uderzenia te następowały jedne po drugich. Detektyw czuł, że traci przytomność, zdawało mu się, że w jego uszach i głowie rozkołysał się potworny dzwon, który ogłusza go i pozbawia resztek świadomości.

Ostatnim wysiłkiem chciał stary detektyw sięgnąć do kieszeni po lampkę elektryczną, aby czerwonym światłem sygnalizować agentów, gdy nagle nastąpiło ostatnie, tak silne uderzenie, że Blindow rozkrzyżował ramiona i padł na dywan, uderzając całym ciężarem swego bezwładnego ciała o róg mahoniowego biurka.

Świadomość opuściła go zupełnie.

Zbrodniarz pochylił się nad bezwładnym przeciwnikiem. Szybko przeszukał kieszenie jego ubrania, wyciągnął z nich rewolwer, latarkę, klucze i pliki papierów. Potem podszedł do okna i starał się przeniknąć wzrokiem tajemnicę ciemnego ogrodu. Widocznie spostrzegł coś, bo zaśmiał się cicho gardlanym głosem i skierował się ku klatce schodowej. Przy pomocy odebranych przeciwnikowi kluczy, wy dostał się na ulicę i rozplynał się w ciemnościach.

.....

Radca policji Blindow wolno przychodził do przytomności...

W głowie czuł nieznośny ból, jakby skorupa czaszki rozbita była w szwach. Suchym językiem dotknął wargi, była śliska i nabrzmiała. W gałkach ocznych czuł nieznośny, palący ból, który sięgał, aż w głąb mózgu i nie pozwalał myśleć.

Blindow zamknął znów oczy. Wreszcie starał się poruszyć ręką. Syknął z bólu, — ręka była jakby złamana.

— A to mnie oporządził... — myślał stary detektyw, chwytając pamięcią gorączkowo ostatnie przeżycia.

Za wszelką cenę postanowił wstać. Z trudem udało mu się poruszyć drugą, mniej obolałą

rękę. Podwinął wreszcie nogi i dźwignął się powoli. Ból w całym ciele był tak straszny i przejmujący, że staremu radcy policji zdawało się, że pokój jest jaskrawo oświetlony.

Wstał, ale zatoczył się znowu i byłby runął na podłogę, gdyby nie olbrzymi fotel na którym oparł się kurczowo. Długą chwilę stał Blindow bezradny, starając się całym wysiłkiem swej woli opanować ból i bezwład.

Spojrzał w okno. Świtało...

Blade światło dnia dodawało staremu detektywowi energii. Chwyając się mebli, wolno posuwał się ku drzwiom. Wreszcie nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Sięgnął do kieszeni po klucz od zatrzasku. Kieszenie były wypróżnione. Przerażony sięgnął do miejsca, gdzie umieszczony był portfel i notatnik, wypełniony ważnymi zapiskami. Ani portfela, ani notatnika nie znalazł. Teraz ogarnął go szal wściekłości. Nie czuł już strasznego bólu.

— Ach, łotr!... — syknął przez zęby.

Szybko poszedł do okna, uchylił wielką szybę wenecką. Prąd wilgotnego, zimnego powietrza orzeźwił go znacznie.

— Glasgier! — rzucił donośnie w ogród.

Z za muru oranżerji wyskoczył olbrzymiego wzrostu agent policyjny. Chwilę szukał wzrokiem, skąd głos pochodzi. Spojrzał wreszcie w otwarte okno i spostrzegł swego przełożo-

nego. Nagle na twarzy olbrzyma odmalowało się przerażenie. Podbiegł w kierunku okna.

— Co się panu stało? — pytał poważnie zaniepokojony. Całą twarz ma pan zwalaną krwią...

Blindow starał się uśmiechnąć. Obolała twarz nie chciała się jednak ułożyć w odpowiedni grymas.

— Proszę szybko zebrać ludzi, zbudzić służącego, który mieszka koło garażu, i proszę wejść tu do mnie na pierwsze piętro. Jestem zamknięty w pokoju...

Glasgier spełnił dokładnie rozkaz. Obudzono służącego, który zdziwił się bardzo wiadomością, że dzisiejszej nocy wilę barona Teitelberga odwiedziło tylu niespodziewanych gości.

Johann ubrał się natychmiast i wraz z agentami udał się spiesźnie do gabinetu zmarłego Geheimrata, aby uwolnić stamtąd uwięzionego radcę policji.

Blindow siedział nieruchomo w fotelu, obolała głowa opadła na oparcie kręła. Przez poręcz zwisała się bezwładnie potłuczona i posiniaczona ręka. Z głowy starego detektywa spływały na twarz krople krwi. Górna warga była przecięta na dwie połowy. Duże, rogowe okulary leżały stłuczone na ziemi. W oczach rannego jaśniały tylko błyski, które świadczyły, że Blindow jest przytomny, a organizm jego nie został śmiertelnie ugodzony.



— Ale to oporządził pana, — szepnął Glasgier ze strachem i jakby podziwem dla zło-  
czyńcy.

Blindow strzepnął zdrową ręką na znak lekceważenia.

— Mógł mnie sto razy lepiej urządzić...  
— powiedział wolno, jakby z trudem. — Wobec  
tego straszego Azjaty każdy z nas byłby za  
słaby... Z mojej niemilej przygody powinniście  
jednak wyciągnąć dobrą dla siebie naukę: —  
Nie wolno zbyt ufać własnym siłom. Mniejsza  
o swoją osobę, — ale sprawie można zaszkodzić...  
— skończył tak cicho, że niemal szeptał do  
siebie.

Johann przyniósł zwitek waty i wody karbo-  
lowej. Glasgier wybiegł na korytarz i powrócił  
za chwilę ze szklanką zimnej wody. Stary  
detektyw pił chciwie. Boleśnie okaleczona warga  
zostawiła krwawy ślad na szklance.

— Jeszcze, — prosił Glasgiera.

Agent podał rannemu drugą szklankę. Wtedy  
radca policji zaczął mówić ze znaczną już ulgą:

— Panowie możecie odejść do domu. Wy-  
starczy, jeśli sam Glasgier zostanie przy mnie  
i zawezwie telefonicznie lekarza i automobil.  
Muszę nieco przyzwolciej wyglądać na ulicy.  
Należałoby przynajmniej wargę zeszyć, zanim  
pokaże się w prezydjum policji...

— Uważam, że pan radca powinien poleżeć kilka dni w łóżku. Rana na głowie jest dość poważna... — wtrącił nieśmiało Hauelsen.

— Nie obawiaj się pan o mnie, — przerwał z bolesnym grymasem na twarzy stary detektyw.—Mimo sześćdziesiątki zdrów jestem jak młody kot. Jeszcze się z tego wyliżę...

Gdy agenci wyszli i kroki ich ucichły zupełnie w korytarzu, Blindow skinął ręką na Glasgiera, aby zbliżył się do niego i zaczął mówić szybko i nerwowo.

— Glasgier, ja boję się o siebie... Nie wiem, czy z tej afery powyciągam nogi... Kto wie, czy nie byłoby lepiej dla mnie, aby mnie był sztyletem ugodził... Wtedy byłbym zeszedł z pola pracy z dobrą opinią, teraz sprawa moja przedstawia się znacznie gorzej... Znadto ryzykowałem i popsulem wszystko. Obawiam się, że już nic nie da się odrobić.

— Ależ, panie radco, jak można tak upadać na duchu, — przerwał Glasgier, a w niebieskich oczach tego olbrzyma malowało się tyle przywiązania i dobroci, że stary detektyw uśmiechnął się do niego z ojcowską pobłażliwością.

— Nie, Glasgier, trudno jest odrobić, co się raz zepsuło. Zaryzykowałem wszystko i wszystko straciłem. Zbrodniarz zabrał ostatnią rzecz, która potrzebna mu była dla wyjaśnienia ja-

kiejs tajemnicy. Teraz willa barona Teitelberga jest mu zupełnie niepotrzebna. On już nigdy tu nie wróci. Chyba...

Nie dokończył. Jakaś zbawcza myśl musiała nagle przebiec przez mózg starego detektywa, bo oczy jego ożywiły się nagle, a palce zdrowej ręki zaczęły szybko i nerwowo przebiegać po poręczach fotela. Na zranionej twarzy zajaśniał lekki uśmiech. Milczał chwilę, snując jakiegoś plany. Widoczne było, że nagle znalazł jakąś nić ratunku.

— Tak wtedy byłbym zrehabilitowany po dzisiejszej porażce, — szepnął sam do siebie z akcentem nadziei w głosie.

Uśmiech, który zagrał nagle na twarzy starego radcy policji, wprawił odrazu i podwładnego w doskonały humor. Glasgier uśmiechnął się z zadowoleniem.

— A widzi pan radca, że jeszcze nie czas upadać na duchu...

— Ma pan rację, jakiś filozof słusznie powiedział: niema sytuacji bez wyjścia. Może i po tej porażce uda mi się wybrnąć. No, ale teraz do roboty... A ponieważ ja nie mogę się ruszyć, więc pan musi za mnie pracować...

— Rozkaz, panie radco.

— Niech pan, zaraz zatelefonuje po auto i lekarza. Potem opowie mi pan, co widzieliście dziś w ogrodzie.

Glasgier połączył się z pokojem dyżurnym w dyrekcji policji i zażądał przysłania na Grunewald lekarza z narzędziami chirurgicznymi i automobilu służbowego. Potem zbliżył się do swego przełożonego.

— W nocy, panie radco, nie widzieliśmy właściwie nic. Ja stałem z Haueisenem koło oranżerji. Miejsce było doskonałe i można było obserwować cały ogród, gdyby nie ta ciemna noc. Nie widziałem nawet własnej ręki. Nagle zdawało mi się, że słyszę jakieś kroki. Trąciłem nawet łokciem Haueisena. Słuchaliśmy, ale odgłos kroków już się nie powtórzył. W ogrodzie i willi panowała zupełna cisza. Po chwili spostrzeżliśmy, że pan radca zapalił w pokoju na piętrze lampę. Byliśmy przekonani, że cała wyprawa nie udała się. Staliśmy jednak spokojnie dalej, obawiając się cośkolwiek z pańskich planów zepsuć. Po upływie godziny lampa zgasła. Żadnych sygnałów świetlnych nie otrzymaliśmy. Na własne ryzyko nie wolno nam było nic robić.... Przyszedł wreszcie świt... Zmarzliśmy i zmokli strasznie. Haueisen żalił się, że nogi mu zdrętwiały i przemarzł do kości. Pocięszalem go jak mogłem, choć sam nie byłem w lepszej skórze. To było wszystko. Potem dopiero o siódmej rano zobaczyłem pana radcę skrwawionego w oknie. Przestraszyłem się.

bardzo... Ale na miłość boską, niech pan opowie co się działo w tym pokoju...

Blindow z trudem i niechęcią opowiedział o walce z tajemniczym zbrodniarzem. Widać było, że opowiadanie stara się możliwie jak najbardziej streścić, aby zbyt nie wyjaskrawić swego ryzyka i niepowodzenia. Skończył wreszcie uwagą:

— A teraz, Glasgier, podejdź pan do biurka i otwórz wytrychem lewą szufladę. Papiery, które pan znajdzie w pierwszej szufladzie, trzeba wydostać i przewieźć do dyrekcji policji. Wszystkie te papiery miał dziś zbrodniarz w ręce, a ponieważ pracował bez rękawiczek, więc niewątpliwie pozostawił na nich odcisk swoich palców. Twarz zbrodniarza pamiętam doskonale. Przy pomocy rysowników uda mi się niewątpliwie odtworzyć podobiznę tego Azjaty. Wtedy będziemy mieli już jakieś konkretne ślady. Nie będziemy szukać przestępcy, jak dotychczas w powietrzu, tylko poszukamy go na ulicach Berlina...

Glasgier ukląkł przed biurkiem i wytrychem zaczął otwierać szafkę, nad którą niedawno tak zawzięcie pracował zbrodniarz. Blindow siedział nieruchomo w fotelu. Opuścił powieki i zdawało się, że drzemie zmęczony przeżyciami nocy.

Po upływie kilku minut, agent otworzył szafkę i ostrożnie wy dostał z niej kilka arkuszy zapisanego papieru, które zbrodniarz miał w ręce. Glasgier ułożył je systematycznie na biurku, a nie chcąc budzić swego przełożonego, zaczął się zagłębiać w ich treść. Kilka pierwszych kartek, były to jakieś notatki i uwagi o związkach chemicznych, jakieś zawile obliczenia matematyczne. Glasgier odłożył je na bok. Wzrok jego spoczął wreszcie na kopji jakiegoś listu, który baron Teitelberg pisał do swego brata w Augsburgu.

Geheimrat zwierzał się ze swoich planów: „Zadowolony jestem bardzo z flirtu mojej Eriki z tym młodym arystokratą rosyjskim, o którym dwukrotnie już Ci pisałem. Jest to, — jak wiesz — przystojny, wytworny człowiek, w każdym słowie i ruchu którego znać doskonałą tresurę wielkopańskich guwernerów. Przytem, co najważniejsze, nie grzeszy zbyt niemiłymi pieniędzmi, jak każdy uciekinier z rosyjskiej krainy warjatów. Snuje się „książę“ jak cień za Eriką. Mam wrażenie, że człowiek ten nadaje się znakomicie do przeprowadzenia moich planów. Muszę mu dać pracę u siebie... Zobaczysz, jak dzielnego będę miał w nim pomocnika... Niestety, muszę nieco jeszcze poczekać, aż znajdzie się w jeszcze gorszych tarapatkach finansowych...

Glasgier oderwał oczy od listu i zaczął zgadywać, co te słowa Geheimrata, pisane na kilka miesięcy przed śmiercią, mogą znaczyć. Niewątpliwie chodziło tu o księcia Strogowa, który był zawsze mile widziany i przyjmowany w salonach potentata chemicznego.

Myśli Glasgiera przerwał nagle sygnał dobrze znanej trąbki automobilowej. Agent wstał i spojrział przez okno.

Na rogu Edengasse ujrzał duży popielaty automobil, który powoli zwalniał bieg i zatrzymał się przed bramą pałacyka.

Poznał służbowy wóz policyjny.

Cicho wysunął się z pokoju, zbiegł po schodach na dół do hallu, aby wskazać lekarzowi drogę.

— Cóż się wam stało? — spytał doktor Krive rozcierając zmarznięte ręce.

— Radca Blindow ranny.

— Stary Blindow? — spytał zaniepokojony lekarz.

— Zdaje się nic poważnego, panie doktorze. Bardziej bolesne, niż groźne dla życia rany. Sądzę, że radca będzie musiał wstrzymać się od pracy, — a szkoda, bo sprawa właśnie wymaga jego osobistego kierownictwa.

Glasgier wprowadził lekarza do gabinetu. Blindow obudził się już z drzemki. Usiłował podnieść się z fotela, aby przywitać lekarza, niestety o własnych siłach nie mógł się dźwignąć.

— Czem kto wojuje, od tego ginie!... — żartował doktor Krive, witając przyjaźnie staro detektywa. — Obawiałem się jednak, że z panem radcą gorzej. Teraz po oczach widzę, że energii wystarczy panu jeszcze na długie lata... Niespożyty motor pędzi pański organizm. Kulą radca oberwał?

— Na szczęście nie kulą, tylko kastetem, albo ciężkim bokserem lotr mnie oporządził...

— Dlaczego „lotr“? W dzisiejszych czasach kul ekrazytowych i gazów trujących wybrał pański przeciwnik jeszcze bardzo humanitarną broń...

Blindow starał się uśmiechnąć.

Doktor Krive wydobył z torby olbrzymie pudło niklowe z wygotowanymi przyrządami chirurgicznymi i opatrunkami i z wielką starannością układał je na stole. Potem zmoczył kłębek waty w jakimś płynie i zaczął zmywać zakrzepłą krew na głowie i twarzy rannego.

— Jest pan prawdziwym dzieckiem szczęścia, — mówił lekarz. — Tak silne uderzenie w głowę, jakie pan otrzymał, byłoby u mniej odpornego pacjenta wywołało wstrząs mózgu... Warga to głupstwo, nałożymy trzy szwy i zacerujemy wspaniale... Ale ręka zwicnięta. O, będzie musiał kochany radca nareszcie trochę uspokoić się i kilka dni przeleżeć w łóżku.



— Ale nie mogę doktorze! — bronił się gwałtownie Blindow. — Sprawa zbyt ważna, abym teraz mógł się wylegiwać.

— To chodź pan, jeśli pan tylko potrafi, — mruknął Krive.

Lekarz obmył dokładnie głęboką ranę na głowie chorego i starannie nałożył opatrunek. Za chwilę zaczął zeszywać wargę. Krzywa, ostra igła wbijała się głęboko w skórę rannego, ale stary detektyw zdawał się być nieczuły na cierpienia. Ani jeden mięsień jego twarzy nie drgnął pod wpływem bólu. Najdłużej trwało opatrywanie ręki. Doktor Krive musiał przywołać Glasgiera do pomocy, aby wprowadzić w staw kość ramieniową.

Po upływie godziny radca Blindow przy pomocy agenta policyjnego i doktora Krivego opuścił pokój, w którym spędził burzliwą noc. Na ulicy czuł się Blindow znacznie lepiej. Nogi zaczynały odzyskiwać większą pewność. Ranny sam otworzył drzwiczki automobilu i usadowił się na wygodnych poduszkach wozu.

— Jedziemy więc do pańskiego mieszkania? — spytał lekarz.

— Doprawdy doktorze, nie mogę, — poważnie sprzeciwił się radca policji. — Choćby na dwie godziny muszę pojechać do biura. Mam wydać tak spieszne i ważne zlecenia, że odroczyć ich ani na godzinę nie mogę.

— Co z panem zrobić? — powiedział z rezygnacją Krive, ucieszony wracającą energją swego pacjenta.

Szofer ruszył z miejsca i za chwilę pełnym gazem jechał przez Wilmersdorf w kierunku śródmieścia Berlina. Szybki prąd świeżego powietrza coraz bardziej orzeźwiał chorego i przywracał mu siły. Po chwili z twarzy rannego znikły gorączkowe wypieki, oczy błyszczały niespożytą energją.

Po upływie dwudziestu minut auto zatrzymało się przed czerwonym gmachem prezydium policji na Dirksenstrasse.

Blindow wysiadł z gorączkowym pośpiechem, pożegnał się z lekarzem i sam bez niczyjej pomocy wszedł na schody i przez szeroki korytarz skierował się do swego biura. Glasier szedł za swoim przełożonym.

Zaledwie radca policji i agent zamknęli drzwi za sobą, gdy cicho wsunął się do pokoju woźny. Widok obandażowanego szefa stropił go nieco. Poczucie jednak karności nie pozwalało mu spytać o przyczynę wypadku. Podał milcząco kartkę papieru, zapisaną gesto nazwiskami ludzi, którzy w czasie nieobecności radcy zgłosili się w jego biurze. W ręce trzymał woźny jakąś małą starannie opakowaną paczkę.

— Cóż to za paczka? — spytał opryskliwie Blindow, szukając zawzięcie w szufladzie drugiej pary rogowych okularów.

— Przyniósł ją posłaniec uliczny. Prosił o doręczenie jeszcze dziś panu radcy, ponieważ sprawa jest niezwykle pilna. Prawdopodobnie jakieś papiery...

Nerwowo przedarł Blindow kopertę i wydobyl arkusz papieru, zapisany pismem maszynowym małego „Remingtona.“ Szybko przebiegł oczyma treść pisma. Ktoś pisał:

„Szanowny Panie!

Uważam, że powinien mi Pan wybaczyć moje brutalne zachowanie się dzisiejszej nocy. Nie ja ponoszę winę. Pan był stroną atakującą, a ja ze zrozumiałych dobrze względów musiałem atak sparaliżować. Przyzna Pan jednak, że mogąc łatwo popelnić zbrodnię, powstrzymałem się od niej. Dlatego uważam, że jakikolwiek żal Pański do mnie byłby nieuzasadniony.

Odsyłam Sz. Panu notes i zapiski. Przeglądałem je dokładnie. Zawierają dużo uwag i planów, potrzebnych do wykrycia niektórych przestępców. Dlatego zwracam je. Sądzę, że zwrot tych notatek sprawi Panu niemalą przyjemność. Ze swej strony zapewniam, że treść

zapisków przechowam w bezwzględnej dyskrecji, tak, że nie dojdą one nigdy do rąk osób interesowanych.

Równocześnie mam zaszczyt donieść Panu, że wszystkie informacje, jakie Pan raczył zebrać o mojej skromnej osobie i wszystkie szczegóły popełnienia zbrodni na Grunewaldzie, które uwidocznili Pan w swoim notesie, są zupełnie nieścisle i zupełnie poważnie doradzam Panu nie trzymać się tych wskazówek, o ile chce Pan wyjaśnić przyczyny śmierci barona Teitelberga. Zrozumie Pan jednak, że w interesie własnym muszę się powstrzymać od udzielenia Panu jakichś rad i wskazówek.

Wkońcu zapewnić Sz. Pana muszę o szczerzej sympatji, z jaką się do Niego odnoszę. Gorąco pragnąłbym, abyśmy przestali być przeciwnikami. Niestety moje pragnienie nie może się urzeczywistnić, albowiem stoimy na dwóch przeciwnych biegunach, to co ja uważam za dobre i etyczne, — Pan uważać musi w imię swoich służbowych obowiązków za złe i niemoralne.

Na szczęście przy pracy łączy nas i pewna wspólność: Pan stara się bronić życia jednostek, — ja życia i zdrowia kilku milionów. Ludzi, którzy starali się w pracy tej mi przeszkodzić, usunąłem ze swej drogi. Ale jest

to drobiazg wobec tego wielkiego humanitarnego dzieła, które mam zamiar w tych dniach już dopełnić.

Kończąc tę drobną uwagę, przesyłam Panu wyrazy szacunku i życzenia rychłego powrotu do zdrowia.

A. R.

Blindow z pasją rzucił list na biurko. W pierwszej chwili zmiął go i chciał rzucić na podłogę, opanował się jednak natychmiast, rozprostował arkusz papieru i mówił już spokojnie:

— Ten łotr, czy też warjat, chce wobec mnie odegrać rolę powieściowych bohaterów w stylu Arsena Lupin, zobaczymy jak na tem wyjdzie.

Równocześnie nacisnęła guzik dzwonka.

Za chwilę wszedł służący. Blindow wlepił w niego badawczy wzrok.

— Czy przypominasz sobie dokładnie, kiedy posłaniec przyniósł tę paczkę?

— Tak, panie radco, pamiętam dokładnie. Było to mniej więcej przed dwoma godzinami.

— Jak posłaniec wyglądał?

— Miał na głowie czapkę posłańca ulicznego z numerem, na który nie zwróciłem uwagi. Był bardzo niskiego wzrostu, tak, że sądziłem, że jest to mały chłopak. Potem jednak spostrzegłem, że to dorosły człowiek. Uderzył mnie nieco wyraz jego twarzy...

— Jak wyglądał?

— Miał szeroki nos i skośne oczy. Przypominał Chińczyka, albo Japończyka, takiego co sprzedaje figurki i cygarniczki po kawiarniach. Tylko twarz jego nie była żółta, ale niezwykle blada. Nad okiem miał głęboką bliznę. Mówił ogromnie szybko, trochę z cudzoziemskim akcentem...

— Cóż mówił do ciebie?

— Wręczył mi tę paczkę i polecił mi oddać ją panu radcy, skoro tylko przyjdzie do biura, jeśliby zaś pan nie przyszedł do prezydium, to polecił mi odesłać paczkę do pańskiego prywatnego mieszkania. Mocno byłem zdziwiony tem, iż wiedział, że pana w biurze niema, choć nie pytał o to zupełnie. Potem jednak dorozumiałem się, że szwajcar na dole udzielił mu potrzebnych informacyj.

W miarę opowiadania woźnego wzrok Blindowa wyrażał coraz większe zdumienie. Palce lewej ręki poruszały się nerwowo.

— Wiesz, Glasgier, — powiedział stary detektyw, — że ten łotr zaczyna mi imponować swoją zimną krwią i beczelnością. Przecież to on sam przybył tutaj, aby doręczyć mi notes i papiery.

— Kto taki?

— Ten łotr, który oporządził mnie w willi barona Teitelberga. Laźł aż do smoczey jamy... Odważny człowiek... No, ale teraz muszę

wraz z rysownikiem odtworzyć dokładnie twarz złooczyńcy, dopóki świeżo mam ją jeszcze w pamięci, odbijemy ją na klisze i rozesłemy do wszystkich pism. Za dwie godziny będą również rozesłane listy gończe. Mam wrażenie, że przecież schwytny tego sprytnego i bezczelnego ptaszka...

— Napewno, panie radco, za kilka dni wpadnie w sidła. Ta dziwna twarz i ta blizna ułatwią znacznie poszukiwania...

— Ach, Glasgier, zawsze wyróżniesz pan kulą w płot.

— Dlaczego?

— Zbrodniarz nie ma na twarzy żadnej blizny. Jeśli miał ją tu, gdy rozmawiał z woźnym, to sztucznie zrobił ją farbą i woskiem, aby mnie w błąd wprowadzić. To był „trick.“ W nocy, gdy otwierał biurko Geheimrata, stał zwrócony do mnie twarzą. Nie widziałem na niej ani śladu blizny. Teraz nad prawem okiem zrobił sobie bliznę, przekonany zgóry o tem, że woźny opisz mi go dokładnie i wymieni ten ważny szczegół, wtedy ja rozpiszę listy gończe, w których bliznę tę specjalnie podkreślę. Rozumie pan, co znaczy tak ważny szczegół w liście gończym. Policja kierowałaby się wyłącznie tylko tą blizną...

— Rzeczywiście Azjata, — z uznaniem powiedział Glasgier.

Do pokoju wszedł tymczasem rysownik. Blindow w krótkich słowach wytłumaczył, w jakim celu go zawezwał. Potem sam zaczął kreślić kontury twarzy przestępcy tak, jak ją widział w nocy na Grunewaldzie. Rysownik wpatrywał się bacznie w pociągnięcia ołówka starego detektywa. Glasgier pochylił się również nad biurkiem i wtrącił nieśmiało:

— Gdy panowie zrobią podobiznę, wtedy można ją pokazać woźnemu. Jeśli rozpozna w niej twarz posłańca, wtedy rysunek można uważać za dobry....

— Wiesz, Glasgier, że i tobie udają się czasem dobre pomysły. Rzeczywiście woźny może być doskonałym cenzorem naszej pracy.

Glasgier uśmiechnął się zadowolony z uznania przełożonego.\*)

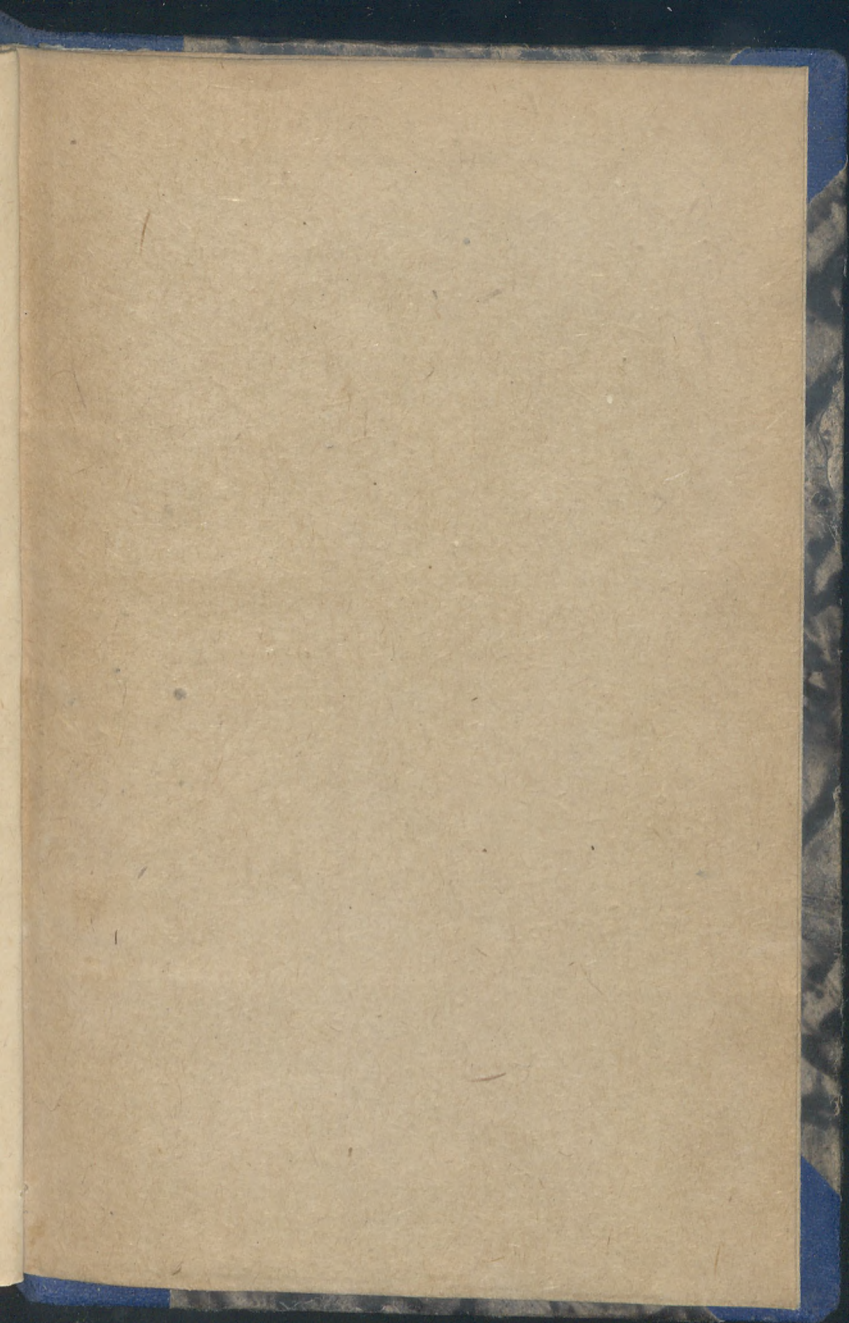
KONIEC.

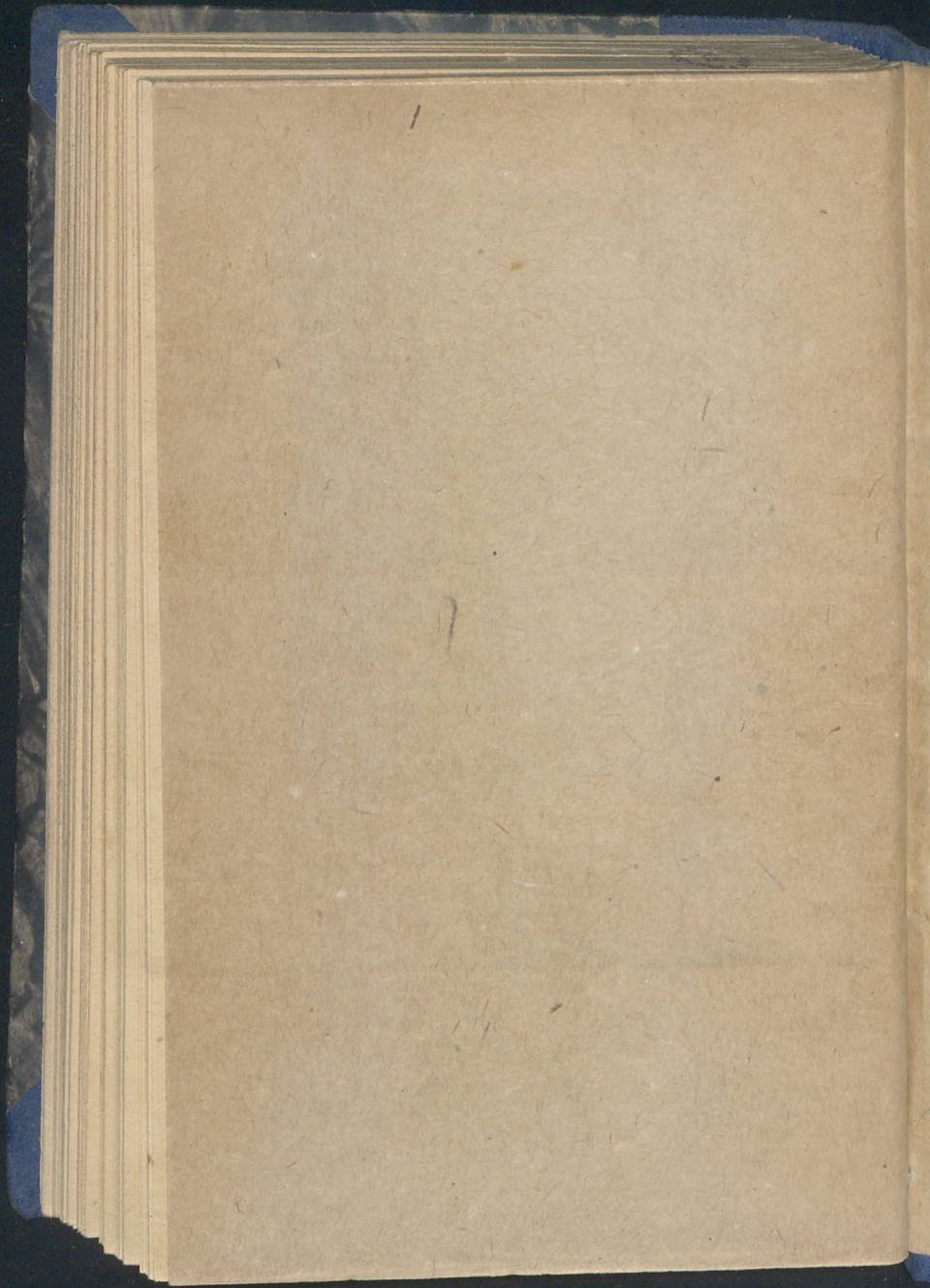


---

\*) Ciąg dalszy tej powieści ukazał się pod tytułem „TAJEMNICA DOKTORA HIWI”.







Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001021729308



603023

---

---